№ 13. Warszawa, dnia 19 (31) Marca 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.– Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

Gustaw Dore.

Przedwczesna śmierć Gustawa Dorego, prawdziwą jest klęską dla sztuki. Spadła ona jak piorun w chwili kiedy mistrz w sile wieku i całej potędze geniuszu swego, wykończał dwie prace, które miały wspaniale uwieńczyć artystyczny jego zawód. Jedną z nich illustracya arcydzieł Szekspirowskich, drugą pomnik Aleksandra Dumasa.

Dore miał lat pięćdziesiąt, pracował od lat czterdziestu! Zjawisko to fenomenalne w sztuce. Myśl jego nigdy nie spoczywała, ręka chwytała kolejno za ołówek, rylec, dłuto lub pędzel i w tysiącznych kształtach odtwarzała pomysły, wiecznie kipiącej wyobraźni. Ta niesłychana twórczość zdumiewała wszystkich, częstokroć jednak stała się powodem uprzedzeń i ostrych sądów. Ludzie krótkowidzący nie mogli, zawistni zaś nie chcieli pojąć, aby wielki rysownik mógł być zarówno mistrzem pędzla i dłuta. Nie zrozumieli oni, że artysta w którego duszy tli święty płomień, wyciśnie piętno osobistości swojej ognistem zgłoski, tak na karcie papieru, jak na płótnie i glinie.

Gustaw Dore był Alzatczykiem. Urodził się w Strasburgu r. 1833. Zaledwie, że mógł utrzymać ołówek w rączce, rysował wszystko co mu wpadło pod oczy. Miał lat siedm, kiedy ojciec jego inżynier, przeniósł się do miasta Bourg.

Tam chłopczyk rozpoczął szkolne nauki. Mali koledzy dziwili się widząc kajeta jego i książki, zarysowane na wszystkich marginesach.

W trzy lata potem, otrzymał pierwszą nagrodę i promocyę. Zadowolony ojciec wziął go podczas wakacyi do Paryża. Ledwie że stanęli w hotelu chłopczyk zabiera swoje szkice, biegnie do redaktora humorystycznego dziennika: *Journal pour rire*.

Ów redaktor, Philipon, zdziwił się niesłychanie na widok tych niezliczonych rysunków, pełnych życia i fantazyi: kilkanaście z nich przedstawiało prace Herkulesa.

— Kto to rysował? — pyta zaciekawiony.

— Ja panie — odrzecze chłopczyna.

Redaktor bada go pilnie, ten opowiada mu, jak numer pisma wpadł mu przypadkiem do ręki, jak dniem i nocą myślał o tem, aby rysunki jego mogły ukazać się w dzienniku. Gdybym mógł zostać w Paryżu i być kiedyś artystą!

— Już ja w tem — rzekł Philipon — wracaj do rodziców, którzy niepokoją się pewnie o ciebie, a poproś ojca, żeby mnie odwiedził, mam nadzieję, że zadosyć się stanie twemu życzeniu.

W godzinę potem, redaktor oświadczył ojcu, że syn jego ma nadzwyczajny talent. Przyrzekł umieścić w piśmie swojem prace Herkulesa. Rysunki dziecka wystarczą — rzekł — na opłatę w liceum Charlemagnes.

Gustaw pozostał więc w Paryżu. Zwierzchnicy szkolni spostrzegli odrazu szczególną jego zdolność.

Kiedy profesor historyi, wykładał z katedry dzieje starożytne, zwracał się zazwyczaj do niego:

— Dore idź do tablicy — mówił — narysuj tu co słyszysz.

I chłopiec chwytał kredę, a z pod ręki jego wyrastały żywe postacie: Cezara, Nerona lub Kleopatry.

Po ukończeniu gimnazyum, pracował stale w redakcyi pana Philipon, obok tego uczył się z zapałem malarstwa.

W roku 1853, wystawił w salonie rodzinę wędrownych kuglarzy, obraz ten powszechną zwrócił uwagę. Z własnego natchnienia, wykonał w tym-

że czasie illustrowane szkice do dzieł Rubelais'go. Napróżno jednak kołatał z nimi do różnych nakładców. Szczęściem rysunki te wpadły w ręce znakomitego starożytnika, Pawła Lacroix. Ten zaniósł je wydawcy swemu.

— Cóż pan chcesz, abym zrobił z tą bazgraniną dziecięcą — odrzekł księgarz.

— Ależ to arcydzieło! — zawołał Lacroix.

Wydawca, aby zobowiązać sobie znakomitego pisarza, wydrukował książkę na grubym papierze. Mimo to dzieło znalazło niesłychany rozgłos: imię Dorego przebiegało z ust do ust, pierwsi nakładcy żądali od niego coraz nowych szkiców, Dore czynił zadosyć wszelkiem wymaganiom. Illustrował z kolei powieści Balzaka, *Atalę* Chateaubrianda, *Komedyą Bozką* Dantego, *Don Quichota*, Aryosta, *bajki* Lafontaina, *Biblią*, *Podróże po Hiszpanii*, *Widoki i typy Londynu*, *Pieśń Starego Majtka*, Colleridga i mnóstwo innych dzieł. Do najpiękniejszych należy illustracya, poetycznych *Legend* Tennysona. W tym druidycznym świecie, Dore rozwinął całe bogactwo fantazyi. Pod rylcem jego odżył król Artur, z plejadą bajecznych bohaterów i zaklętych księżniczek. Odczuł on skarby ukryte w średniowiecznej poezyi, stąd słusznie porównywają go z Wiktorem Hugo. Ta wielka jednak zachodzi różnica, między dwoma genialnymi artystami, że kiedy Hugo z upodobaniem dobywa z pomroku zbrodnie Borgiów i Tudorów, Gustaw Dore wyżej podnosi wzrok i z miłością najwznioślejsze odtwarza ideały.

W towarzystwie przyjaciół, Dore przebiegał nie raz Alpy i Pirenei, w każdej podróży zbierał tysiące krajobrazów i typów miejscowych. Razu jednego, podczas rannej przechadzki w Alpach, naszkicował w albumie wspaniały jakiś widok. Wieczorem u stołu, towarzysze pytają o rysunek. Dore wstaje, szuka książki w paltocie, zawieszonym w przyległej sali. Książka jest, ale rysunek zniknął, kartka widocznie wydarta.

W parę dni potem przynoszą z poczty jakąś paczkę pod adresem Dorego. Otwiera ją, widzi laskę pysznie oprawną w złoto, z drogocennym szafirem. List objaśnia tajemnicę. Bezimienny wielbiciel przyznaje się do popełnionej zbrodni. Nie mogąc oprzeć się zbyt wielkiej pokusie, wziął ukradkiem rysunek, a ponieważ kradzież nie wchodzi w jego obyczaje, prosi aby pokrzywdzony przyjął laskę, którą mu w zamian ofiaruje.

Tym nieznajomym wielbicielem, był niewątpliwie Anglik, w Anglii bowiem, imię Dorego niemniej było popularnem jak we Francyi, a różnostronny geniusz jego, wyżej nawet ceniony, niż między rodakami. Podczas kiedy publiczność paryzka, owiana prądem realistycznym a więc niezdolna podnieść się do idealnych wyżyn w których krążył duch mistrza, obojętnie mijała obrazy jego na wystawach, w pozytywnej Anglii znalazło się towarzystwo miłośników, które nabywało chętnie te obrazy, przewoziło je za morze i na pomieszczenie ich, zbudowało w Picadilly wspaniałą galeryę, wyłącznie poświęconą Doremu.

Tam widzieć można razem, ten piękny szereg obrazów, które z roku na rok podziwialiśmy w salonie paryzkim, owe *Piekło Dantowskie*, gdzie w morzu płomieni wiją się potępieńcy, istne Laokoony, okręcone splotami wężów, ten wspaniały *Wjazd Chrystusa do Jerozolimy*, wśród tłumów niezmierzonych wzrokiem, rzucających palmy pod stopy Zbawiciela, owych *Męczenników chrześciańskich*, rzuconych w arenie, na pastwę rozżartym lwom i tygrysom, owego Orfeusza rozszarpanego przez Bachantki, w którym malarz-poeta, wyr aził własną walkę, z rozpasanym dziś *naturalizmem*.

Koroną tych prac w Picadilly, jest *upadek poganizmu*, najwyższy tryumf Dorego.

Wszystkie te obrazy, żywo nam stają przed oczyma, długie poświęcaliśmy im godziny, przenosząc się z mistrzem w ten promienisty świat ideału, w którym on czerpał natchnienie. Pamiętamy też zawziętą polemikę krytyków o to piekło Dantowskie, w którem jedni witali genialne dzieło, inni zaś nazwali je dziwadłem artystycznem, ubolewając nad rysownikiem, że utworami pędzla kompromituje własne imię.

Z równą niechęcią przyjmowano śliczne rzeźby Dorego, owe grupy tak odrębnym nacechowane charakterem, tak cudnie odbijające wśród konwencyonalnych Minerw i Apolinów i innych bożyszcz przestarzałego Olympu. Widzieliśmy tu ludzką pracę uczczoną w grupie krzepkich rolników, młócących zboże cepami, widzieliśmy też cudną Bogarodzicę i Boże dzieciątko, przytulone do serca matki, z rączęty wyciągniętemi w kształcie krzyża. Ta grupa nagrodzona chlubną wzmianką, lubo zasługiwała na złoty medal, rozbiegła się przynajmniej po świecie w niezliczonych odlewach.

(D. n.)

Spóźniona ofiara.

Gdy uklęknę wzruszona przed Twym krzyżem Chryste,
I wzrok duszy zatopię w Twej bolesnej męce,
W jednej chwili zachwytu wtedy Ci poświęcę
Myśli moje stęsknione i pragnienia czyste.

Lecz choćbym skarby duszy wyczerpała do dna,
I serca mego wszystkie natężyła władze,
W cichem skupieniu ducha i w świętej rozwadze
Uznam, że ta ofiara jest ciebie niegodna!

Bo dziś, choć u stóp Twoich złożyć się ośmielę,
Całą moją istotę w kornej ducha cześci,
Dawne blaski uczucia już gasną w popiele,
Serce, bliźnim rzucone zginęło bez wieści:
Więc zanucę w swym smutku piosenkę tej treści:
Bogu dałam zamało, a ludziom... zawiele!...

* * *

Na ludzkich serc nieczułość nigdy się nie żalmy,
Dlatego, że nas przyjaźń zawiodła nieszczera,
W pustyni zwanej życiem są źródła i palmy,
Choć tysiące podróżnych z pragnienia umiera.

Komu raz wieniec z cierni złe losy uplotą,
Czyż sądzi, że już kwiatów zabrakło na drzewie?
Czyż o istnieniu słońca ten wątpi, lub nie wie,
Kogo Boskie wyroki dotknęły ślepotą?

Ah! wy mi nieustannie zarzuty czynicie,
Że myśli moje czarne, jak w żałobnej krepie:
A jednak, choć wzrok duszy w chmurne niebo wlepię,
Wierzę w promień słoneczny co rozjaśnia życie,
I wśród gromów i burzy tą myślą się krzepię,
Że inni podziwiają tęczę na błękicie!

Emilia.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Na drugi dzień, Staś o godzinie dziesiątej rano już był w gmachu szkolnym księży Pijarów mieszczącym się wówczas przy ulicy Długiej. Zapis szkolny odbywał się w jednej z klas do której drzwi z długiego prowadziły korytarza. Przy obszernych stołach umyślnie zastawionych, siedział poważny ksiądz Rektor Kamionowski, Prefekt Niezabitowski i kilku profesorów cywilnych w mundurach jak uczniowie granatowych, ale zapinanych na dwa rzędy i bez obszycia tasiemkami. W koło nich na ławkach i stołach szkolnych mieściła się liczna gromadka uczniów, wspinając się jeden nad drugim i gwarem rozmowy napełniając całą obszerną salę.

Jeżeli czasem w otoczeniu tem hałas zbyt się podniósł, albo figle się wzmogły, bo i tych nie brakowało, wówczas Rektor albo Prefekt, obracali się do młodzieży i kładąc palec na ustach, mówili łagodnie:

— Dzieci, uspokójcie się, jakże można tak hałasować?

I młodzież przyciszała się natychmiast, a figlarze milkli zasłaniając sobie usta skłonne do śmiechu i nowych wybryczków. Gdy Staś wszedł do sali odbywał się zapis uczniów wchodzących z promocyą z klasy pierwszej do drugiej. Nowi ochotnicy do klasy pierwszej, stali pomiędzy ławkami szkolnemi w pobliżu stołów: Staś przyłączył się do ich grona. Prefekt czytał głośno nazwiska uczniów mających się zapisać do klasy drugiej i za każdem wymienieniem, kandydat zbliżał się, składał opłatę szkolną wynoszącą na pół roku dwanaście złotych, odbierał kwit i pocałowawszy Rektora w rękę, machał do domu ucieszony, że się pozbył nudnego oczekiwania.

— Bonawentura Błoński! — wywołał znowu Prefekt.

Między młodzieżą podniósł się gwar, ciche szepty i śmiech przytłumiony, ale wymieniony kandydat nie pokazywał się.

— Bonawentura Błoński! — powtórzył Prefekt donioślejszym głosem. — Czy go nie ma do zapisu?

— Jestem, jestem! — ozwał się z głębi gromady młodzieży.

— To czemuż nie przychodzisz? — zapytał Prefekt z powagą właściwą urzędowej czynności.

— A bo mnie nie chcieli puścić, proszę księdza Prefekta — odrzekł chłopczyna żywo przystępujący do stołu, któremu z miny wielka figlarność przeglądała a policzki czasem jeszcze drgały od chętki do śmiechu.

— A to dlaczego? — zapytał Prefekt zdziwiony.

— Bo powiedzieli, że ja nie jestem Bonawenturą Błońskim tylko Awanturą; więc nie mogę iść do zapisu, skoro ksiądz Prefekt Bonawenturę wymienia.

— A jeżeli jesteś Awanturą a nie Bonawenturą — odrzekł Prefekt zawsze z jedną powagą, to naturalnie zapisu ciebie nie mogę uskutecznić.

Chłopczyna spuścił oczy, niby posmutniał, nawet westchnął, ale się nie uląkł i tylko raz i dru-

gi przerzucił spojrzenie po swych zwierzchnikach. Poznał odrazu, że się nie ma bać czego, że figle jego nie ściągną ani burzy ani połajania.

— No, i czegóż czekasz panie Awanturo? — zapytał Prefekt.

— Na zapis proszę księdza Prefekta, bo moje chrzestne imię to Bonawentura — odrzekł chłopiec, a ciszej dodał — a Awantura to przydomek.

— Śliczny przydomek, nie ma co mówić — odpowiedział Prefekt i zwracając się do Rektora dodał — nie wiem teraz czy uczeń z takim przydomkiem może być do szkół naszych przyjęty.

Figlarz teraz na prawdę zaniepokoił się, przestępował z nogi na nogę, gniótł czapkę i mruczał pod nosem, jakby się miał ochotę rozpłakać:

— To nie ja siebie tak przezwałem proszę księdza Rektora. Ksiądz Prefekt wie dobrze, że awantur żadnych nie robię, w cenzurze mam dobre obyczaje.

— Wszystko to być może — odezwał się Rektor przypatrzywszy się przez chwilę przestraszonemu chłopcu — ale widzisz figle z koleżkami byle nieszkodliwe i we właściwej porze nie są naganne, ale są nieprzyzwoite ze zwierzchnością szkolną, którą szanować powinieneś. Gdy tu przywykniesz do takiej niesforności, nie uszanujesz potem żadnej władzy, żadnego prawa i będziesz złym obywatelem kraju, a my staramy się, aby z naszej szkoły wychodzili dobrzy jego synowie, a nie figlarze i rozpustnicy na jakiego ty już trochę zakrawasz. Przez wzgląd jednak, żeś dostał promocyą, jeżeli mi przyrzekniesz, że dla nas swoich zwierzchników zawsze okazywać będziesz przynależne uszanowanie a figlom nie pozwolisz brykać, to zapis pozwolę dopełnić.

— Przyrzekam — mruknął potulnie chłopczyna całując Rektora w rękę.

— No to zapiszże go księżę Prefekcie — mówił dalej Rektor — i z dodatkiem, że przyrzekł starać się, iż przydomek Awantury zagubi dobrem postępowaniem.

Staś z niezmierną uwagą wszystkiemu się przypatrywał i dostrzegł na twarzach Rektora i Prefekta, gdy spojrzeli na siebie, jakiś dobrotliwy uśmiech, mający w sobie coś rodzicielskiego, co wzbudza zaufanie i nie trwożąc przyciąga.

Gdy zapis wreszcie dawniejszych uczniów ukończył się, Rektor zwrócił się do nowych kandydatów.

Pierwszym z brzegu był chłopczyna bardzo skromnie odziany, w kurteczce i majteczkach dosyć podniszczonych, połatanych, ale na ten występ szczególnie starannie przygotowanych. Włosy choć świeżo wyczesane uporczywie mu spadały na oczy, w ręku trzymał czapkę bez daszka a z minki przeglądało niezwykłe zakłopotanie.

— Jakże się nazywasz moje dziecko? — zapytał Rektor chłopczyny.

— Adam Barański — odrzekł malec, całując w rękę Rektora.

— Zapewne przyszedłeś do szkół się zapisać?

— A tak, proszę księdza Rektora.

— A dlaczegóż to z tobą nie przyszedł ojciec albo matka?

— Ojciec już nie żyje, umarł na wiosnę, a matka siedzi w budzie i przedaje pieczywo i owoce, to nie może odejść.

— A nie masz kogo z krewnych albo powinowatych coby matkę zastąpili?

— Nie mam nikogo. Marysia starsza siostra musi z matką budy pilnować, ciotka służy za kucharkę, a stryj co jest drwalem, powiedział, że on w szkole nie będzie umiał gadać bo do szkoły nigdy nie chodził.

— A ty umiesz gadać w szkole, choć w niej jeszcze nie byłeś?

— Jużcić umiem — potwierdził malec — bo się uczyłem od lokaja co mnie ganiał po wodę do ogrodu, a potem od akademika co nabrał chleba od matki na dwa złote i nie zapłacił.

— A czegoześ się uczył od akademika?

— Jużcić wszystkiego co potrzeba do szkoły i powiedział, że umiem tyle co do pierwszej klasy wystarczy.

— Przy egzaminie przekonamy się o tem, a teraz powiedz mi, czy na wpis półroczny przyniosłeś pieniądze?

— A zkądby ich matka wzięła, ale przyniosłem świadectwo.

I to mówiąc chłopczyna oddał arkusz papieru zwyczajnego, złożony we czworo, na którym dwóch właścicieli domów w Warszawie potwierdziło własnoręcznemi podpisami, jako Barbara Barańska wdowa, utrzymująca się z kramu z pieczywem i owocami, nie jest w stanie opłacać wpisu szkolnego za syna swego Adama. Rektor uznał to za dostateczne, oddał Prefektowi, a potem zwracając się do chłopczyny, zapytał:

— A jeżeli przyjęty zostaniesz do szkół, czy matka będzie miała za co sprawić ci mundurek?

— Jużcić będzie miała — odrzekł chłopczyna — bo pan akademik mundur swój jak wrócił z wakacyi podarował matce a stróż pan Walenty, powiedział, że go przykroi według miary na mnie i tak wyszykuje, że nic znać nie będzie, że w nim były dziury, łaty i dziurki od guzików porozrywane.

— Ale czy stróż Walenty potrafi to zrobić? — zapytał Rektor dobrotliwie.

— Jużcić potrafi, przez dwa lata terminował u krawca ale go z terminu wygnali, bo do krawiectwa nie miał ochoty tylko do lokajskiej służby.

— No, to kwalifikacya nieszczególna — odrzekł Rektor — ale byleś tylko miał mundurek to już na jego niedokładności krawieckie zważać nie będziemy.

— Pan Walenty powiedział — odezwał się chłopczyna — że go skroi na wyrost żeby na długo do szkoły wystarczył.

— To masz ochotę się uczyć Adasiu? — zapytał Rektor.

— Jużcić mam, bo jak nie miał mnie kto tu przyprowadzić, tak powiedziałem, że sam przyjdę a i przyszedłem.

— To bardzo dobrze zrobiłeś, ale nieładnie mój Adasiu, mówić zawsze *a jużci*. Jest to wyrażenie ludzi nic nie uczących się, a tu wszyscy uczą się i starają się mówić poprawnie, aby z mowy ich zaraz poznano, że należą do szkoły z której mają wyjść młodzieńcami na chlubę naszą, a swój pożytek. Trzeba więc koniecznie tego twego *a jużcić* pozbyć się, bo jakby przyszli twoi koledzy usłyszeli, toby cię wyśmieli i nazwali prostakiem...

— A jużci! — ozwał się nagle jakiś głos donośny z gromady uczniów na zapis zebranych

Szmerem śmiechu poruszyło się całe zgromadzenie, uśmiechnął się Rektor z profesorami i Prefektem, uśmiechnął się nawet Staś, ale wnet wszystko wróciło do urzędowej powagi i czynność przerwana, dalej się rozpoczęła przepisanym porządkiem. Nareszcie przyszła kolej na Stasia. Chłopczyna oddał list od Kanonika ze Skulczyna. Rektor przeczytał go, oddał go potem Prefektowi, pomówił coś z nim poufnie i przypatrzywszy się suplikantowi, wypytawszy o niektóre szczegóły szkoły w Łukowie także przez Pijarów utrzymywanej, powiedział Stasiowi, aby jutro przyszedł do niego.

— Kanonik ze Skulczyna — rzekł do Stasia stojącego przed nim — gorąco cię poleca naszej opiece a my jego prośby nie odrzucimy i zrobimy co można. Idź teraz moje dziecko do domu, i jutro staw się na oznaczoną godzinę.

Oto malutki obrazek z przeszłości dość od nas oddalonej.

Pragnienie Stasia pomieszczenia się jako posługacza w konwikcie księży Pijarów, spełniło się. Przeznaczono go do usługi księdza Prowincyała Bystrzyckiego, oddano mu małą celkę na pomieszkanie, zaopatrzono ją w niezbędne przedmioty i powiedziano, że zasiadać będzie do wspólnego stołu w refektarzu, a książki, papier i inne przybory naukowe wydzielać będzie ksiądz Ciepielowski, mający je pod swoim nadzorem.

— Służba przy księdzu Prowincyale — rzekł Rektor - nie zajmie ci wiele czasu. Oczyścisz mu tylko rzeczy, zrobisz w mieszkanku porządek, pójdziesz czasem za jaką posyłką na miasto, ot i wszystko czego się od ciebie domagać będzie. Ucz się tylko, ucz się jak najwięcej bo z nauki powstają ludzie jak Bóg przykazał, a przez takich wszystko nabiera nowego życia i tam gdzie wyrastał sam oset i pokrzywa, podnosi się kwiat pełen woni i barwy.

Oprócz Stasia znajdowało się tam jeszcze dwóch innych podobnych posługaczy, ale znacznie starszych i w niższych klasach pomieszczonych. Synowie także zecerów z drukarni utrzymywanej przez Pijarów, robotników, przy niej służących, ich nawet bliższych krewnych, pobierali naukę w szkole bezpłatnie a nawet książki i papier do niej potrzebne. Kleryków także było kilkunastu uczęszczających do akademii duchownej na utrzymaniu konwiktu, a gdy raz jeden z cywilnych a poufalszych znajomych Rektora Kamionoskiego zrobił uwagę, że za nadto młodzieży do stanu duchownego przyspasabiają, ten odrzekł:

— Alboż myślisz, że z nich wszyscy wyjdą na księży? Zaledwie dziesiąty wyświęci się a reszta pójdzie w świat za chlebem innego zupełnie rodzaju. Kiedy jednak chcą się uczyć niech się uczą, zawsze z nich do ogólnej skarbnicy rozumu społecznego przybędzie choćby kilka kropli, któreby zmarniały gdybyśmy im z pomocą nie przyszli. Wydatek to wielki, ale łata się jakoś, koniec z końcem wiąże, ot i idzie po Bożemu, bo oświata, manna to Boża co Izraelitów wprowadziła do ziemi obiecanej.

Kiedy Staś uszczęśliwiony stanął przed p. Mateuszem z radosną nowiną pomieszczenia w konwikcie, poczciwy maruda patrząc na twarz jego rozpromienioną, uśmiechnął się i wyciągając rękę rzekł:

— Pójdź chłopcze do mnie, niech cię uściskam, jako pierwszego Strońskiego, którego w życiu spotykam nieogłupiałego swoją tarczą herbową. Podobna choroba to jak rak, wszystko niszczy czego się dotknie i jeden tylko nóż chirurga skutecznem na nią lekarstwem.

Dlaczego p. Mateusz z tak zajadłym gniewem powstawał na to, co Staś nauczył się szanować od lat najmłodszych, z czem chował się i wzrastał,

nie umiał sobie tego wytłomaczyć. Ojciec jego skromny i biedny ekonom, prawda, że czapkował przed swoim dziedzicem, był uniżonym, pokornym, ale niższym nie dał sobie w kaszę dmuchać, trzymał się od nich zawsze na uboczu, powiadając, że jest szlachcicem z rodu od dziada pradziada a nie jakimś bratem łatą lub prostakiem krajką przewiązanym. Poniewierka też pojęć podobnych dziwiła Stasia: ojca szanował ale i rozum p. Mateusza nie uszedł jego baczności. Słuchał więc, rozważał i szamotał się w myśli, nie wiedząc na którą przechylić się stronę.

Przyjęty do klasy piątej oddał się cały nauce tymbardziej, że obowiązki służby prawie były nie znaczące.

Ułatwienie także miał wszelkie, bibliotekę otwartą, pomoc chętną, zachętę ciągłą, dość że Staś przechodząc z klasy do klasy, zdał wreszcie egzamin dojrzałości i zapisał się na wydział prawny do uniwersytetu warszawskiego, do czego mu zacni Pijarzy wielce pomagali. Za ich także staraniem dostał korepetycyą z całem utrzymaniem, a po dwuroczným kursie nauki uniwersyteckiej, wystarał się o miejsce dependenta przy jednym z mecenasów i wynajął sobie mały pokoik na poddaszu Starego miasta, aby miejsce po sobie przekazać równemu jak on biedakowi.

Przez cały ten czas stosunki z panem Mateuszem na chwilę nie były przerwane. Sędzia pokochał go jak syna, za każdem widzeniem uczęstował porządnemi gromami na pogaństwo społeczne, ale nie miał już w nim biernego tylko słuchacza.

Gniewało go to a nawet jątrzyło, zapalał się, zapyrzał, a gdy raz wykrzyczawszy się, Staś mil czeniem na wywołaną burzę odpowiedział, pomiarkował, że za nadto się rozbrykał i przeszedłszy się po pokoju rzekł znacznie uspokojony:

— Patrzysz na mnie Stachu i dziwisz się zapewne, że chociaż piąty krzyżyk wieku przygarbia mi plecy, a zapalny jestem jak mina. Przeżyłem wiele... przesąd mnie ugiął... owe herby wydęte tytułem, wygalonowane, wyperfumowane, sztywne jak tyczki a głupie jak puste makówki.

I rzekłszy to machnął ręką z goryczą i przeszedł się po pokoju.

I długo pozostawał w zadumie, usta drgały mu jakby tajemną sam z sobą prowadził rozmowę, czasami ścisnął pięście, westchnął, wreszcie zatrzymawszy się przed Stanisławem zajętym przeglądaniem jakiejś książki, zapytał:

— I cóż się tam Stachu dzieje w waszych aulach akademickich? Uczycie się, studyujecie zapewne...

— Tak jest, panie Sędzio — odrzekł Stanisław — uczymy się i...

— I bałamucimy panienki romansem i zalecankami — domówił p. Mateusz.

Stanisław spojrzał zdziwiony na p. Mateusza i odrzekł:

— Są zapewne tacy, ale ja nie należę do ich liczby.

— No, no, a to nowina!—zawołał p. Mateusz— a dużo was takich?

— Jest nas spora gromadka, a godłem jej... bezwarunkowe poświęcenie wszystkiego, czem człowiek może rozporządzać.

— O młodości, młodości! — zawołał p. Mateusz — zawsze przesada we wszystkiem, aż do krańcowości, ale jak w tym razie podczas nauki godna pochwały.

— I po jej ukończeniu—domówił Stanisław — do chwili ostatecznej w której nam wolno będzie samych siebie kochać.

Pan Mateusz ścisnął usta i pokręcił głową.

— Mój Stachu — rzekł — czy ty nie jesteś czasem w przystępie jakiej choroby?

— Tak, panie Sędzio — odrzekł Stanisław z ciężkiem westchnieniem — nie jest to jednak choroba tylko cierpienie całego jestestwa moralnego, szukającego jak ptak swobodnego lotu a wszędzie uderzającego o zawady niczem nieprzeparte. Usunąć je oto nasze zadanie i spełnieniu jego poświęciliśmy wszystko, nawet miłość dla kobiety, która jak utrzymują, w życiu ludzkiem przeważną odgrywa rolę. Nie znam jej i rad jestem temu... bo lękam się rozdwojenia samego siebie.

W podobnych rozmowach często się ponawiających, p. Mateusz zacierał ręce, żałując, że wiek nie pozwala mu przejmować się zapałem młodości i stawać ze Stanisławem w jednym szeregu. Miał wtedy blizko lat pięćdziesiąt, Stanisław skończonych lat dwadzieścia jeden. Pan Mateusz dobrze już był wyłysiały i cokolwiek podtatusiały, Stanisław rozwinięty zupełnie z ciemniejącym zarostem na twarzy, świadczącym, że się przekształca na człowieka dojrzewającego nietylko ciałem ale i duchem. Nie był jednak ładnym, nawet wdzięku młodości wszystko kraszącego prawie nie posiadał. Z pozoru wyglądał bardzo zwyczajnie; troszkę niezgrabny, troszkę przychylony, troszkę zaniedbany, zawsze miał włosy rozczochrane, chustkę krzywo zawiązaną i kołnierzyki bezładnie powyciągane. Czystości jednak w całej swej osobie przestrzegał bardzo troskliwie, a p. Mateusz zwał go filozofem i żartując karcił, starając się poprawić niedokładności ubrania.

Gdy jednak siedział nad książką, gdy się w myślach pogrążył lub ożywił rozmową, nagle zmieniał się, rysy wygładzały się, szlachetniały, oczy promieniły, policzki drgały, czoło wyjaśniało i stawał się prawie pięknym nie formą zewnętrzną na harmonii linii opartą, ale myślą z nich tryskającą. Szkoła wywarła swój wpływ, uniwersytet dokonywał reszty, i ze Stasia prostaczka, nieśmiałego w mowie i ruchu, istoty biernej, opacznej w pojęciach, wyrastał młodzieniec z pozoru skromny, potulny, cichy i spokojny, podobny jednak do orła co patrząc na świat szponem mu grozi.

Pokoik, który zajmował Stanisław, mieścił się na czwartem piętrze jednej z kamienic Starego miasta. Tam zamknięty wszystkie chwile wolne od wykładów akademickich, przepędzał na pracy. Książki i papiery otaczały go w koło a i cisza także na takiej wyżynie obca większemu miastu. Zdala tylko dochodził gwar przytłumiony, jak szum strumienia po kamiennem płynący łożysku. Jak zaś okiem z okna dało się sięgnąć, wszędzie widniały szczyty obocznych kamienic, okna, dymniki, kominy, dalej smuga płowej Wisły, jej pobrzeże, rojowisko Pragi a za niem płaszczyzny pól ornych zamknięte ścianami czerniejących lasów.

Stanisław gdy się zmęczył robotą lub znużył czytaniem, lubił stawać w otwartem oknie i przyglądać się tak pięknemu i rozległemu widokowi a wtedy oparty o futrynę tak się nieraz zamyślił, że stał długo bez poruszenia, jak statua z marmuru wykuta.

Raz w takiej postawie zastał go jeden z kolegów Wacław, bardzo z nim zaprzyjaźniony. Skrzypiących drzwi Stanisław nawet nie usłyszał i dopiero gdy uczuł rękę na ramieniu położoną, obrócił się do przyjaciela.

— Nad czem się tak zadumałeś? — zapytał przybyły.

— Nad wszystkiem — odrzekł Stanisław witając miłego gościa, a przedewszystkiem nad pięknością widoku z jakim nie często spotkać się można. Patrz jak rozległa przestrzeń, jak na niej wszystko niezwykłą przybiera postać...

— Czy i to także co z okna wychylone zdaje się ku nam przesyłać spojrzenie? — zapytał gość wskazując w przeciwną stronę.

— Co takiego?

— Ot to na lewo, z buzią młodą, figlarną...

Stanisław przerzucił spojrzenie i wpatrzył się w punkt wskazany. Była to postać młodziuchnej dzieweczki, z włosami okalającemi całą jej głowę, w puklach aż do pleców dochodzących. Nie mógł się jej jednak dobrze przypatrzeć, bo dziewczątko nagle wysunęło się z okna i spuściło firankę.

— Otóż i rusałka smyrgnęła spłoszona jak ptaszek — odezwał się Wacław. — Widok rzeczywiście masz bardzo piękny a szczególniej podoba mi się ta ostatnia strofka z sielanki staromiejskiej, umykająca jak myszka, choć ani ty ani ja na kota nie wyglądamy.

Stanisław zarumienił się i odchodząc od okna rzekł:

— Nawet nie wiedziałem, że mam takie sąsiedztwo i nie wiem kto tam mieszka.

— Stachu! nie wypieraj się! — zawołał Wacław śmiejąc się. I jabym rad dostać taką sąsiadkę. Przy pięknym widoku taka postać ożywia go, podnosi...

— Wacku! — przerwał Stanisław — czyś za pomniał...

— Ale pamiętam, pamiętam doskonale — odrzekł Wacław rzucając się na łóżko kolegi.—Ale widzisz to jedno drugiemu nie przeszkadza, oczy to nie serca i po promieniach ich nie przemkną się do niej z prośbą o pęta miłosnych termedyi. Patrzyć jednak, chwalić, uwielbiać a nawet zachwycać się wolno i tego żaden zakon, statut lub ustawa nie zabraniają.

Był to koleżka, jak powiedzieliśmy, najbardziej przez Stanisława lubiony. Kochał go za poczciwe serce, za zacne zasady jakiemi cały był przejęty, ale i rozsądkowi jego ufał bardzo i przywykł iść nieraz ślepo za jego radą. Równie jak Stach ubogi, utrzymywał się z własnej pracy, znosił biedę, troski, zżymał się, łajał, przeklinał, a do przyszłości uśmiechał się i wyciągał ręce pewny, że w niej wszystko znajdzie.

— Jeżeli zaś, mawiał, w tym wielkim pochodzie do upragnionego szczęścia, zginiem w środku drogi, zawsze staniemy się jednym szczeblem w drabinie ogólnego postępu i ludzkość wpisze nas w listę męczenników, których przeszłość niemałą liczbę przysporzyła. Brru! na wodę Stachu! Za nami... prawo: nad nami Bóg, a przed nami... świat, o jakim nie marzyło się dotąd ani mędrcom eni poetom.

Kiedy wieczorem po małej przechadzce, Stanisław wrócił do pomieszkania, dzieweczka siedziała przy stoliczku zajęta głośnem czytaniem. Widzieć ją można było dokładnie, gdyż izdebka młodzieńca położona była wyżej i całe wnętrze pomieszkania choć o jakie parę set kroków odalone, przedstawiało się jak na dłoni. Złożone z dwóch małych pokoi i kuchenki, mebelki posiadało skromne, dwa łóżka z pościelą, parę stolików, kanapkę, kilka krzeseł, szafę, komodę, niezbędne lustra i jakieś obrazki na ścianie. Przy jednej stało pianino a przy niem stos nut i dwa taboreciki. Przy czytającej dziewczynce, siedziała już nie-

młoda kobieta lat blizko pięćdziesiąt mieć mogąca zajęta łataniem czy krajaniem jakiejś materyi. Okno było otwarte, przestrzeń pomiędzy mieszkaniami nie była wprawdzie wielka ale tak oddalona, że choć głos czytającej dochodził do ucha Stanisława, wyrazów jednak nie mógł w nim rozróżnić. Młodzieniec z zajęciem przypatrywał się nieznanym postaciom: starsza była w czepku i w kaftaniku, młodziuchna panienka w perkalikowej sukience, z ponsową chusteczką przewiązaną na szyi, od której końce z wielkiej kokardy spadały na piersi z włosami do koła głowy zawiniętemi w papiloty. Stanisław przypatrując się dziwił się, że dotąd nie wiedział, iż ma tak miłe w pobliżu swojem sąsiedztwo. Dziewczynka mająca najwyżej lat szesnaście, zgrabna w poruszeniach, pomimo młodości nie była trzpiotką jakby się spodziewać należało. Buzia jej jaśniała pogodą, oczy uśmiechały się ile razy zwróciły się ku towarzysce obok zajętej pracą, a jeżeli powstała za jaką posługą, przechodząc przez pokój szła z pewną powagą, jakby królowa pomiędzy szeregiem schylonych przed nią dworaków.

— Co to za jedne? — pytał sam siebie Stanisław. — zapewne matka z córką, ale jak się zowią i z czego się utrzymują? Nie są zapewne bardzo biedne, bo pianino biednych nie zdobi mieszkania, ani nie składa się z dwóch pokoi schludnie umeblowanych. Nie utrzymują się też z pracy ręcznej, bo nie widać żadnych do tego koniecznych przyborów, a wreszcie biedne szwaczki nie mają czasu wieczornych godzin poświęcać czytaniu. Musi to zapewne być jakaś wdowa emerytka po urzędniku a to jej córka z rozumną główką kiedy książką nie gardzi.

Stanisław zapalił świece i jak tylko blask jej rozjaśnił pokoik, w oknie sąsiadek zapadła roleta i tylko przez szpary boczne wydobywało się światło świadcząc, że zajmując się dalej czytaniem nie chcą ściągać na siebie ciekawych podglądów.

— Znają mnie więc — pomyślał młodzieniec — kiedy wiedzą, że o tej godzinie zasiadam do pracy. Rzecz jednak szczególna, żem dotąd nie zwrócił na nie uwagi.

Po dziesiątej światło zgasło w pokoju sąsiadek, okno pokryło się ciemnością, Stanisław pracował długo jeszcze, a gdy na drugi dzień wstał rano jak zwykle o godzinie szóstej i otworzył okno, zobaczył panienkę siedzącą już przy książce, robiącą jakieś zapiski i tak zajętą, że nawet nie spostrzegła jego śledzącego spojrzenia. Zaledwie jednak odsunął się i przeszedł w głąb' mieszkania, okno zaraz się pokryło nieprzejrzaną zasłoną.

(*D. c. n.*)

Korespondencya ze Lwowa.

Zoile z usposobienia i ich działanie. — *Koło literackie.* — Stan *Towarzystwa Oświaty* ludowej we Lwowie — Rozwój *kółek rolniczych.* — Słówko o wyborcach lwowskich. — Wybory do Rady miejskiej. — Jej teraźniejszy regulamin. — Zmiana dyrekcyi Skarbkowskiego Teatru.

Zwyczajem jest kilku ludzi, którzy do żadnej pracy ręki przyłożyć nie umieją, wszelką istniejącą lub powstającą instytucyę szarpać, ośmieszać, podkopywać dopóty, dopóki osłabiona chwiać się niezacznie. Wtedy oni dopiero z tryumfem wołają: „a co? wszakżeśmy przepowiedzieli.” — Tak się też działo i z *Kołem literackiem.* Członkowie tego pożytecznego i dość już zasłużonego ciała, ci właśnie, którzy nigdy nic nie zrobili, którzy nigdy na posiedzeniach nie bywali, tak w miejscowych, jak w zamiejscowych pismach przez dwa lata szerzyli wieści, że *Koło* nic nie robi, że zaledwie wegetuje, że posiedzenia są nudne, bezcelowe i t. p. Dokazali swego o tyle, że zniechęcili wielu i zmusili Wydział Koła do złożenia mandatów. Ten fakt wywołał na ogół członków *Koła* pewne wrażenie, zwołano walne zgromadzenie, które liczniejszem było, jak wszelkie poprzednie, ale wiekuiści malkontenci nie ukazali się wcale.

Gdy Wydział występujący oświadczył, iż mandatów nie przyjmie, wybrano nowy, do którego weszli: prof. Uniw. Leon Biliński na przewodniczącego, Wojciech Kętrzyński, historyk, Władysław Kozłowski, autor cennych prac (głównie w „Ateneum” pomieszczanych) filozoficznych, Baranowski Bolesław, inspektor szkół okręgu lwowskiego, Młodnicki Karol, malarz, Bełza Władysław, na członków, a Romuald Starkel, autor kilku dziełek popularnych na sekretarza.

Na pierwszem plenarnem posiedzeniu Dr Ćwikliński prof. Uniw. odczytał ocenę Szujskiego przekładów Sofoklesa i Arystofanesa. Wszczęta dyskusya, przeprowadzona z wielką powagą i godną podziwu delikatnością i umiarkowaniem, trwała blizko dwie godzin i wyświetliła stanowisko Szujskiego w historyi, literaturze i publicystyce, wykazała psychiczne przyczyny kierunków tego pisarza i dała go poznać jako poetę, uczonego i polityka. Kilku osobistych przyjaciół podało nieznane szczegóły jego życia, co wiele przyczyniło się do poznania punktów wyjścia tego płodnego i pracowitego pisarza. Posiedzenie nadzwyczaj było zajmujące i uczące, tak że wszyscy opuścili salę ożywieni i zadowoleni. Dowiodło ono, że *Koło lit.* ma racyę bytu, ma warunki i środki, i stało się najlepszym argumentem przeciw wrzaskom niedoszłych wielkości.

Drugie ciało równie atakowane złożyło na walnem zgromadzeniu dowód, że na te wielkości i na ich hałasy zwracać uwagi nie należy. Mówimy tu o *Towarzystwie Oświaty ludowej dla Lwowa i okolicy.* Założone rok temu staraniem D-ra Aleksandra Hirschberga, kustorza bibl. Ossolińskich i prof. hist. pol. w Uniwer. bez żadnych pierwiastkowo środków, Tow. zdołało pod jego energiczną ręką wiele w krótkim stosunkowo czasie dokonać.

Zjednano bowiem 1082 członków, wnoszących rocznej składki 1 złr. W mieście samem założono na przedmieściach 2 czytelnie, z których jedna oprócz pism peryodycznych posiada bibliotekę z 326 dzieł w 350 oprawnych tomach. Uczęszczało do niej 100 członków Tow. dla których urządzono 16 odczytów, 4 wieczorki muzykalno-deklamacyjne i 1 zabawę towarzyską.

Druga odwiedzana była przez 200 członków; posiada ona 36 pism dzienników i czasopism i 622 dzieł w 700 opr. tomach. Urządzono w niej przez zimę 19 odczytów.

Na dwóch innych przedmieściach założono bezpłatne wypożyczalnie. Jedna liczy już 214 dzieł w 238 opr. tomach, druga 262 dzieła w 287 opr. tomach. Jak skuteczne jest działanie tych wypożyczalni dowodzi to, iż wszystkie dzieła bezustannie są w rękach. Oprócz tego w niedziele i święta zgłaszało się w jednej przeciętnie 32 w drugiej 47 czytelników. Nadto w okolicy założono 2 czytelnie i 14 wypożyczalni liczących 2,512 dzieł w 2,727 opr. tomach. Istotnie podziwiać należy tę skrzętność i energią kilku ludzi, ożywionych dobrą wolą. Żeby wyposażyć tyle zakładów, zebrano mnóstwo darów w książkach a budżet doprowadzono do wysokości 2,757 złr. 77. W tej sumie jest zaledwie 975 wkładek od członków, resztę zebrano za pomocą przedstawień, festynów i wyjednanych subwencyi. Powzięto bowiem szczęśliwą myśl wyjednywania takich subwencyi od tłustych naszych banków, które piękne dywidendy akcyonaryuszom dają. Zyskując na wszystkiem niechże te pieniężne oficyny przyczyniają się do rozszerzania oświaty.

Bardzo pocieszającym faktem jest pomyślny rozwój *Kółek włościańskich. Centralny Zarząd* tych Kółek prowadzi z wolna ale praktycznie swoje prace i spodziewać się należy, że wkrótce dojdzie do znakomitych wyników.

Dostarcza on członkom Kółek wyborowego ziarna do zasiewu, rolniczych maszyn i narzędzi, pomaga do zakładania sklepików chrześciańskich i t. d. Nawet rzemieślnicy po miasteczkach żyjący w nędzy i na łasce wyzyskiwaczy zwracają się do *Centralnego Zarządu* z prośbą o pomoc, wskazówki i kierunek. A potrzebują wszystkiego ci biedni rzemieślnicy małomiasteczkowi, bo położenie ich straszne. Dostają oni bowiem pieniądze na materyał od miejscowych lichwiarzy, wyrabiają produkt, sprzedają, a za to wszystko otrzymują 30 centów dziennie, cały zaś zysk zabiera wyzyskiwacz. Są to istotnie biali murzyni w rękach małych kapitalistów. Otóż *Zarząd Kółek włościańskich* wyrabia im skóry na kredyt w stowarzyszeniu szewców lwowskich i tym sposobem wyswobadza ich z niewoli iście babilońskiej.

Pogadanka.

Pomiędzy teoryą a życiem jakaż przepaść ogromna, jakże daleko od siebie odbiegają! A jednak tak być nie powinno, tak nam się przynajmniej wydaje. Teorye powinny być budowane na podstawie rzeczywistości, a kiedy niekiedy tylko można je wyrozumowywać i życie do nich naginać.

Ot i teraz naprzykład, dwudziesty pierwszy marca minął, skończyła się astronomiczna zima a rozpoczęła wiosna. Po letargu zimowym, jakże mile brzmi to słowo, ile w sobie mieści cudownych obrazów ile rozkosznych budzi marzeń.

Ah! jasno, zielono, a wieczór tak cichy,
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
I perlą się rosy świecące —
Tam wiejskie pacholę pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chruściele na łące;
Tam trzody ku wodzie suną się doliną,
I szemrze mącona rzeczułka,
I wstają mgły białe nad senną wiosczyną,
I ozwał się dzwonek z kościołka:
Anioł pański...

Wybrałem na chybił trafił obraz tych, życiem tchnących a uroczych dni, a ileż to takich opisów w naszej literaturze możnaby naliczyć? Setki, tysiące, a wszystko piękne, bo sam przedmiot świeżą wonią ich urok podnosi, czarodziejskiemi blaski opromienia.

Więc cóż dziwnego, że zdarłszy w kalendarzu kartkowym liczbę 21, zamarzyłem o wiośnie...

Zdawało mi się, że widzę ciągnące żurawie, słyszę łopot rozłożystych skrzydeł bocianich, a po przed okno mignęła lotna jaskółka...

Istotnie coś mignęło i miga coraz częściej, tylko, że nie jaskółki, lecą — wielkie płatki śniegu. Ładna zapowiedź wiosny. Śnieg wszakże stopniał rychło, słonko uśmiechnęło się i nową zdawało się wlewać nadzieję. Niestety, był to uśmiech ironiczny.

Nie wiedziałem, że słońce ironicznie śmiać się umie, upewniał mnie wszakże o tem wiatr ostry, mroźny, który, gdym mu nie chciał wierzyć wypisał na termometrze *dziesięć stopni mrozu*, jako dowód, że uśmiech słońca istotnie był ironiczny, a w dodatku zdradliwy.

I czemuż tu teraz wierzyć, jeśli słońcu nie można?

Zwątpienie zaczęło się wkradać do mej duszy, gdy w pamięci powstał nowy obraz:

Znasz li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa;
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?
Gdzie wieńcem bluszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi!
. . . .

Na falach fantazyi popłynąłem na południe, rozkoszne krajobrazy roztaczały się przed oczyma duszy.

U podnóża gór niebotycznych zaczyna się już kraj odmienny. Na wzgórzach rozrzucone ville, pałacyki, klasztory i ruiny starożytnych zamków, w kotlinie jezioro, nad którego lśniącą falą unoszą się romantyczne Alpy. Woda miękko odbija promienie zachodzącego słońca, w dali widać leciuchną mgłę, która zalotnie osłania czarujące wybrzeże. Łodzie snują się samotnie po przestronych falach, jedne ciągną już do portu, inne wyruszają dopiero na pełne jezioro.

Dziwny, niedający się opisać urok, ma taki wieczór. Światła jeszcze pełno, słońce jakby z żalem kryje się za góry, czasem jeszcze, jakby ostatnie spojrzenie pokaże się promień, który rozpryśnie o wodę, rzuconą wiosłem w barwy tęczowe i ginie w modrej toni...

Taki obraz jak przez mgłę z dawno minionych lat mi się przypomniał. Jakże dopiero pięknie musi być dalej jeszcze na południe, w Wenecyi, Neapolu?...

„W Neapolu silne panują mrozy, wyrządzając ogromne szkody w gajach pomarańczowych. Od lat czterdziestu nie pamiętają Włosi takiego zimna. Zatokę Sorrento, o której wód lazurze marzą poeci, pokrywa warstwa lodu...”

Tak brzmi wiadomość z Włoch, którą znalazłem we wszystkich dziennikach. A to ładna rzecz! marzyłem o włoskim niebie i włoskim klimacie a tam mrozy od których biedne lazarony giną.

Czem sobie wytłomaczyć taki przewrót w naturze? Miałżeby to być przyspieszony o tydzień figiel na *prima a prilis?*

Możeby lepiej zajrzeć do Wiednia na wystawę hyacyntów? Wyobrażam sobie, jaki to wspaniały widok przedstawiały te masy kwiatów różnobarwnych a wonnych. Lecz woń to za silna, zabijająca, a ja wcale nie marzę o śmierci Heliogabala. Wolę kwiatek na łące lub w ogródku, w doniczkach na oknie lub wreszcie wpleciony we włosy, lub przypięty przy staniku... Wtedy można ten kwiatek podziwiać, uważać go za ozdobę nie zbytek.

Otóż pokazało się, że z fantazyjnej wędrówki lepiej powrócić do domu i zamiast pragnąć widoku drzew pomarańczowych, mirtów, wawrzynów i cyprysów, przyznać z poetą: „czyż nie piękniejsza nasza brzezina, co jak wieśniaczka, kiedy płacze syna...”

Oj, pewno, że choć wszędzie dobrze, w domu najlepiej. U obcych czasem się niemało można nauczyć, ale szanować wszystko co swojskie to podstawa ważna w życiu społeczeństwa. Znać rzeczy obce — zaleta, swoje — obowiązek.

Od obcych godziłoby się uczyć poszanowania wielkich ludzi. W sąsiednich naprzykład Niemczech przybywa pomników z dniem niemal każdym. Piękny to dowód pamięci o tych, którzy się dobrze narodowi zasłużyli — tylko, że Niemcy w pogoni za wielkościami są tak zapalczywi, że nieraz i obce anektują. Anekcya leży widocznie we krwi niemieckiej.

O Wita Stwosza toczyły się formalne wojny. Niemcy żadną miarą nie chcieli i nie chcą go nam przyznać. Veit Stors jest według ich twierdzenia stanowczo Niemcem, a jako jeden dowód więcej, iż mają racyą składają tem, że obecnie robią składki na pomnik dla tego znakomitego twórcy ołtarza w kościele Naj. Panny Maryi w Krakowie.

I cóż na to poradzić?

Chcą postawić pomnik, postawią i nie darują nam Stwosza, któremu przodkowie dzisiejszych żarliwych wielbicieli, wyłupili oczy. Ale dzisiejsi Niemcy o tem pewno nie wiedzą, a może wiedzieć nie chcą.

Kopernik naturalnie także był Niemcem...

Grottgera pewno nam nie zabiorą, bo jego dzieła nie są wcale *Gemitlich*, a więc nie niemieckie.

O Matejkę nie będą walczyli, choćby na złość Czechom.

A więc jest nadzieja, że choć kilku wielkich nam zostawią i pozwolą im dziś czy kiedyś wznosić pomniki...

My tymczasem zanotujemy, że w Paryżu już ukończono pomnik Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Zachowanie tej pamiątki było czynem pięknym, a należnym słusznie, cichym a wielkim zasługom znakomitej autorki.

Nie potrzeba zaraz wielkich sum, aby pamięć zachować, utrwalić, tablicą z marmuru lub nagrobkiem z kamienia. Tylko ci godni są mieć istotnie wielkich ludzi, którzy ich umieją uczcić, powiedział ktoś dawno już bardzo, a słowa te powinniśmy wyryć w pamięci złotemi głoskami.

Dobry przykład prędzej czy później musi wydać dobre owoce.

W Dobranowicach (w Galicyi, powiecie Wielickim) zmarł bezdzietny wieśniak Wojciech Kucharski. Człek to był zamożny, bo oprócz ładnego gospodarstwa posiadał gotowizny *dziesięć tysięcy złr.* Otóż cały ten dobytek zapisał ś. p. Kucharski na utworzenie szkoły ludowej w wiosce rodzinnej.

Tak więc przybędzie nowy posterunek oświaty, który tem większe będzie miał znaczenie, że jako fundacya wieśniaka wleje w lud wiarę, że sprawa, której fundator-chłop służył nie jest obcą ani złą. Lud często miał nieufność w robotę i namowy nieswoje. Dowód to zarazem, że poczucie potrzeby oświaty wzrasta pomiędzy ludem.

Galicya pod tym względem idzie naprzód.

W Kole ma powstać bank włościański. Kapitał zakładowy wynoszący *pięćdziesiąt tysięcy rubli* już zebrano.

Instytucya taka oddałaby ogromne usługi, tem bardziej, iż niewątpimy, że wszystkie powiaty banki takie pozakładałyby.

Przy ciągłem dążeniu do podniesienia rolnictwa kapitały niezbędne, a nikomu, jak włościaninowi o nie nie trudniej. Rzecz naturalna, że o kredycie wekslowym, na krótkie termina nie może tu być mowy.

Ziemia wydaje raz tylko do roku plon, raz więc tylko jeden można zebrać znaczniejszą kwotę, któraby posłużyła na umorzenie długu. Pieniądze włożone w ziemię dla jej poprawy nie wrócą się w ciągu jednego roku, umorzenie więc jednorazowe jest również niemożliwe. Spłata ratami przedstawia dlatego właśnie wielkie korzyści.

Zwracamy tylko uwagę, że bank powinien ostro przestrzegać, aby raty nie zalegały. Nadzwyczajny chyba wypadek mógłby zaległość tłomaczyć. Zrozumie bowiem każdy, że jeśli włościanin nie może zapłacić *jednej* raty, o ileż trudniejby mu przyszło zapłacić odrazu *dwie*. Procenta zwłoki utrudniają jeszcze sprawę. Zaległe raty zabiły setki właścicieli mniejszych posiadłości w Galicyi, a wzbogaciły lichwiarski bank włościański.

Powiedział ktoś złośliwie, że galicyjski bank rustykalny zgrzeszył dobrocią. Nie egzekwował raty zaległej jednej ani dwóch — ale grabił majątki za rat sześć lub dziesięć.

Skutki dziś są smutne... a przykład dostatecznie pouczający.

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Antoni Celichowski. Pierwsza nauka z małemi dziećmi podług A. Diesterwega. Warszawa 1882 r.

W dosyć obszernym wstępie autor wyjaśnia metodę przezeń przyjętą w pierwszej nauce z małemi dziećmi, przyczem wyjaśnia korzyści płynące dla dziecka z nauki poglądowej, którą uważa i nie bez racyi na jedyną i najprostszą drogę prowadzącą do celów pożądanych. Dziełko p. Celichowskiego jest podręcznikiem dla nauczyciela i zajmujących się nauką małych dzieci: jest tu więc podana metoda wraz z jej zastosowaniem i przykładami, nadto są tu różne wierszyki, zagadki, zagadnienia z dziedziny geometryi, nauki wstępne do nauk przyrodzonych a więc nieco z zoologii, botaniki, dalej topografii, geografii, fizyki. Rozdział trzeci zawiera: wskazówki przy nauce pisania i rysowania, rozdział czwarty: naukę czytania, w której stanowczo wymaga, aby nauka czytania odbywała się za pomocą: *głosowania* a nie głoskowania, który to ostatni sposób uważa za zgubny i roztrwaniający czas bez potrzebnie. Co do zdań wygłoszonych w tym rozdziele mielibyśmy może wiele do zarzucenia, lecz nie mając zamiaru prowadzenia polemiki z p. C. nad kwestyą *głoskowania* i *głosowania* przechodziemy do porządku dziennego zaznacza-

jąc, że bezwarunkowe potępianie starej metody *głoskowania* nie da się uzasadnić. Ma ono bowiem swe zalety jakie nowa metoda, źle zaaplikowana nie posiada. Rozdział piąty i szósty obejmuje wskazówki przy nauce rachowania i uwagi o śpiewie, całe zaś dziełko kończą: Niektóre uwagi pedagogiczne. W zasadzie przyklaskując pracy p. C. niemożemy się zgodzić z niektóremi, nie poglądami na naukę, lecz wyrazami nowo ukutemi, których jak najniewłaściwiej p. C. używać każe. I tak dotąd wiadomo nam było, że *czernidlem* zwaliśmy tak zwany *szuwaks*, rodzaj smarowidła czerniącego skórę, lecz nigdy tem mianem nie obdarzaliśmy płyn czarny, czerwony, niebieski służący do pisania a zwany powszechnie nawet przez największych purystów atramentem. Wyraz to już tak utarty i tak przyswojony mowie naszej, że niepodobna go zastąpić innym a nie dającym właściwe pojęcie o rzeczy. Bo i jakże, czyż atrament czerwony naprzykład można nazwać *czernidlem?* Są wyrazy techniczne, które bez pomieszania pojęć o rzeczy zmieniać nie można.

Przez p. C. zaproponowane przemianowanie atramentu na czernidło, przypomina mi lingwistyczno-puryfikatorskie próby ś. p. J. N. Kamińskiego, który tak się wyrażał: „Kocieju, weź deszcznik, błotniki na nogi i przynieś mi z lekotworni w płyneczniku czornego piśnika.” *Woźnico weź parasol, kalosze na nogi i przynieś mi z apteki w flaszce czarnego atramentu.* Otóż zdaje się nam że tego rodzaju językowych dziwolągów jak *czernidło* (atrament), *oprawnik* (introligator), *skazownik* (cyferblat), *uobrażony* (poglądowy), *otoczyna* (ramy), *błony* (?) (szyby), *przepowiadać* a *podpowiadać* są wyrazy o dwóch odrębnych pojęciach, *targowica* nie zawsze jest *rynkiem*, tak jak *rynek* targowicą, *wietnica* (? ratusz), *lissowy* (ten co roznosi listy, listonosz) *dwór* a *paloc* nie jest jedno i to samo, tak samo jak chałupa i kamienica, i t. d. należałoby w dziełku tego rodzaju jak te p. Celichowskiego jak najskwapliwiej unikać, bo zamiast korzyści, tylko straty przynoszą.

D. Zgliński. Humor w „Panu Tadeuszu”, szkic estetyczny. Warszawa 1883 r.

Ze wszystkich krytyków i estetyków badających arcydzieła poezyi polskiej, pierwszy dopiero pan Zgliński zastanowił się nad znaczeniem humoru w „Panu Tadeuszu”.

O humorze zawartym w tym utworze, jak twierdzi p. Z. nie mówiono dlatego: „że jest go tam pełno, nie stanowi on przywileju pewnych pojedyńczych postaci lub sytuacyi ale rozwesela wszystkie, stronice poematu.”

I słusznem jest twierdzenie p. Z. bo humor przenika cały poemat od początku do końca.

„Płynie on powiada p. Z., albo z wnętrza bogatej akcyi, lub też z zadziwiająco dosadnej charakterystyki postaci.” Wczytawszy się z uwagą w arcydzieło Mickiewicza, autor podpatrzył najgłębsze jego tajniki, kierując się przytem wielką znajomością estetyki, co nie przeszkodziło mu posiłkować się darem obserwacyi. Nie porwały go jedynie zewnętrzne blaski, lecz w pracy tej wystąpił jako wprawny psycholog.

Dlatego też rozprawka p. Z. aczkolwiek nie wielka pod względem rozmiarów, jednak obfituje w bardzo głębokie myśli. Cytaty trafne stwierdzają zasadniczość poglądów autora, które pozwalają nazwać Mickiewicza, największym humorystą polskim.

Pracę pana Zglińskiego niezaprzeczenie uważać należy za bardzo cenny przyczynek do studyów nad naszą literaturą, tembardziej że potoczystość wykładów złączona ze ścisłością badań, stanowią niepoślednią zaletę tej pracy.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Z Lubelskiego piszą do „Wędrowca”. Pan Namysłowski, który ukończył warszawskie konserwatoryum a obecnie zamieszkuje w Starym Zamościu, zebrał grono chłopców i pracuje z nimi od jesieni r. z. Uczniowie amatorowie o tyle już postąpili w muzyce, iż mógł utworzyć z nich orkiestrę włościańską, grywającą w miejscowym kościele i na wieczorach w sąsiednich dworach. Oprócz tego sprowadził dekoracye teatralne, wyuczył chłopaków ról, tak iż obecnie już grywają różne ludowe komedyjki. Osoby, które miały sposobność być obecnemi na tych przedstawieniach, opowiadają że z życiem i udatnie role swoje odgrywają. Tak więc wieś Stary Zamość posiada już, dzięki bezinteresownej pracy p. N. swoją orkiestrę i swój chłopski teatr, co dowodzi, że lud nasz nie jest pozbawiony poczucia artystycznego i tylko trzeba je wzbudzić i wyrabiać.

*** W Galicyi, we wsi Witowice dolne, powiecie Nowo Sandeckim, na skraju lasu tuż obok wąskiej drużyny nad Dunajem, stoi okazały starożytny pomnik, przedstawiający Kaźmierza Wielkiego, w naturalnej wielkości. Ponieważ pomnik ten tak jest zakryty drzewami, że nietylko ogół, ale nawet wielu mieszkańców poblizkich wiosek nic o nim nie wie, i stoi między górami w miejscowości nigdy prawie nie zwiedzanej, przeto powstał projekt, ażeby komitet opiekujący się starożytnemi zabytkami postarał się pomnik ten nabyć i przenieść do Lwowa, gdzie stałby się ozdobą rynku lub ogrodu miejskiego. Zdaje się, że urzeczywistnienie tego projektu nie napotka żadnych przeszkód, gdyż jest on własnością pana Marcelego Piłatowskiego, dziedzica Witowic, znanego w całej okolicy z prawości charakteru i szlachetnych czynów — zapewnie więc zechce zrobić ofiarę z tak drogiej pamiątki, na rzecz ogółu.

*** Od niejakiego czasu zaczął wychodzić w Paryżu dziennik przeznaczony specyalnie dla grabarzy, karawaniarzy i wogóle ludzi i interesów odnoszących się do pogrzebów, p. t. „Croque-mort” (Grabarz). W nagłówku swoim, dziennik zawiadamia: „iż nadsyłane do redakcyi a nie zużytkowane rękopisma, będą oddawane robactwu na zjedzenie”. Jako premium, prenumeratorowie otrzymają *po śmierci* trumnę sosnową. Dziennik ten obejmuje dział informacyjny wszelkich wogóle formalności i wiadomości pogrzebowych oraz dział humorystyczny obejmujący nieraz nader zabawne ogłoszenia.

*** Od miesiąca rozpoczął się już tak zwany „sezon londyński” przyjęciem u królowej angielskiej w „Buckingham palace”. To przyjęcie u dworu daje hasło rozpoczęcia zabaw czyli karnawału londyńskiego, trwającego do maja, a panie angielskie przesadzają się w bogactwie strojów i klejnotów. W tym dniu przywdziewają one tradycyonalny strój dworski, na który zarzucają nadzwyczaj długi płaszcz, unoszony przez paziów królewskich. Etykieta dworska nie dozwala uchylać się od najdrobniejszych przepisów; dawniej przepisanem było na ile cali podnosić się mają pióra nad czołami szlachetnych *ladies*, i wyznaczony do tego urzędnik dworski, obowiązany był sprawdzać wysokość ubrań głowy. Pierwsze to u dworu przyjęcie, stanowi także nader ważną epokę w życiu angielskich mis, albowiem wchodzić mające w świat córki lordów, w tym dniu bywają prezentowane królowej. Długo naprzód przygotowują się one do tej ważnej ceremonii, odbywając liczne próby pod okiem matron obznajmionych doskonale z dworską etykietą, a mimo to gdy nadejdzie dzień oznaczony, przechodzą przez salę tronową miotane niewysłowionem wzruszeniem, pod gradem krytykujących każdy ich ruch spojrzeń całego dworu, zanim nareszcie po wykonaniu przepisanych ukłonów, zostaną zaszczycone złożonem na czole pocałunkiem królowej, co zakończa ceremonię. Najmniejszy ruch nieodpowiedni programowi etykiety, zabija młodą lady w opinii wielkiego świata i może zniweczyć widoki świetnego zamążpójścia. Przed parą jeszcze laty, młode panie i panny angielskie przed prezentacyą u dworu, uczyły się ruchów i ukłonów od sławnej Taglioni, późniejszej hrabiny ***, zamieszkałej w Londynie. Wspaniały pałac Bucklingham jest nader bogato urządzony; od przedsionka prowadzi do sali tronowej szereg przepysznych salonów, i w tejże sali królowa, licznym otoczona dworem przyjmuje odwiedzających.

*** Strach na gburowatych mężów! W Stanie Maryland, demokratyczne zgromadzenie prawodawcze zawotowało tam prawo, iż uderzenia, poniewieranie i wszelka wogóle gwałtowność jakiej mąż dopuściłby się względem żony, karaną ma być nietylko więzieniem, ale jeszcze i karą cielesną. Dotąd dzięki wykrętom swych adwokatów, tak krajowcom jak białym przestępcom, udawało się unikać wykonania wyroku — ale obecnie postanowione prawo zaczyna wchodzić w czyn. Pewien mulat, skazany został na więzienie i chłostę za znęcanie się nad żoną — sąd drugiej instancyi apelacyą odrzucił i wyrok zatwierdził, w skutku czego w niektórych częściach Stanów Zjednoczonych, kara cielesna na brutalnych mężów prawnie wprowadzoną zostaje.

*** W Indyach zachodnich zamieszkuje plemię tak zwane Czarnonogich, które obchodzi nader oryginalną uroczystość, zwaną „Okan” na cześć Wielkiego Ducha, na którą schodzą się wierni o kilka i kilkanaście mil nawet oddaleni. Obrawszy odpowiednie miejsce, zgromadzeni budują sobie szałasy, w pośród których „ręce wybrane” stawiają Okan. Jest to wielki szałas, 15 stóp wysoki, w kształcie olbrzymiego parasola, we wnętrzu którego Czarnonodzy składają ofiary, a w tych najważniejszą rolę odgrywają ogony bawole. Szałas ten stawiać mogą same tylko najcnotliwsze kobiety — mężczyźni nie godni tego zaszczytu. Ale i z kobiet niewielka tylko liczba dostąpić go może; wszystkie którym — choćby skutkiem niesłusznego posądzenia, mężowie poucinali nosy, już i marzyć o tem nie mogą. Kobieta nieposzlakowanej cnoty, zwana Mikakiaki, przed dniem uroczystości odprawia ścisły post i przez trzy dni siedzi na pokucie, na ziemi, okryta chustą, nie widząc żadnej ludzkiej, a szczególniej męzkiej twarzy. Uroczystość ta jest świętem pokoju, w sam jej dzień kobiety idą do szałasu modlić się za cały lud, w rękach trzymają język bawoli, na który przysięgają, że każda zawsze wierną była i wierną pozostanie mężowi. Tylko pewna siebie kobieta może składać publicznie to zeznanie, każdemu al-

bowiem służy prawo zarzucić jej wobec całego zgromadzenia, wszystko co tylko złego wiedzieć o niej może. Następnie ma miejsce modlitwa mężczyzn, poczem oni znów wygłaszają chwalebne swoje czyny, np. ilu zabili nieprzyjaciół, wiele skradli koni i t. p., kilkodniowe tańce zakończają uroczystość.

*** W Taszkiencie otwartą zostanie pierwsza lecznica żeńska, pod wyłącznem zawiadywaniem kobiet-doktorek. Celem lecznicy jest udzielanie pomocy kobietom muzułmankom, tamże zamieszkałym. Jest to pierwsza w Rossyi próba otwarcia dla kobiet-lekarzy pola samodzielnej działalności. Lecznice podobne istnieją w Chinach, założone i prowadzone przez doktorki angielki, obecnie otwiera je Rossya, powierzając kobietom pionierstwo cywilizacyi i postępu na dalekim Wschodzie. Trafny to pomysł i może bujne wydać plony.

*** Z okoliczności zaślubin brata królowej Małgorzaty, księcia Tomasza Sabaudzkiego z księżniczką bawarską Izabellą, odbyć się mają w Rzymie nader świetne uroczystości. Dostojna para przybędzie do wiecznego miasta zaraz po odwiedzeniu matki księcia, księżny Genueńskiej mieszkającej w Stresa, w Piemoncie. Jest zamiar urządzenia średniowiecznego przyjęcia, z łukami tryumfalnemi i allegorycznemi postaciami, nie ma jednak dotąd pewności czy da się urzeczywistnić. Niewątpliwie przecież wykonany będzie wielki średniowieczny turniej, konno i w zbrojach, a nadto, stokroć ciekawsze jeszcze, bo od tysiąca lat przeszło nie widziane starożytne widowisko, danem będzie w Kolosseum. Nie podległa zniszczeniu, połowa amfiteatru Wespazyana, otworzy się dla tysiąca widzów, którzy zasiądą na okrytych kobiercami stopniach olbrzymiego gmachu. Gladiatorowie wystąpią na arenę i znowu zawołają jak przed wiekami: „Morituri te salutant” tylko zapasy ich nie wywołają śmierci ani rozlewu krwi. Ani wątpić, że podobne widowiska, ściągną do Rzymu tysiące cudzoziemców.

*** Ludwik II król bawarski, znany ze swej oryginalności, przebywa obecnie często w „Neuschwanenstein” najnowszej ze swych wiejskich rezydencyi, przenoszącą przepychem wszystkie jakie dotąd posiadał, a rozmiarami równającą się najokazalszym pałacom monarszym w Europie. Zamek Neuschwanenstein wznosi się na odosobnionej skale, zwanej Tegelrock, naprzeciw znanego Hohenschwangau; dwa wielkie wiadukty łączą go z drogą po obu stronach. Liczy aż 6 pięter; wybudowany jest w stylu czysto włoskim, z mnóstwem balkonów i wież narożnych z granitu. W środku gmachu wznosi się wielka, 360 stóp wysoka wieża, z dwoma werendami u szczytu, z których uroczy roztacza się widok. Dach miedziany. Ogromny dziedziniec prowadzi do majestatycznego portyku, arcydzieła kamiennego snycerstwa. Front prawego skrzydła zamku, zdobią dwa malowidła *al fresco* 40 stóp wysokie; jedno przedstawia św. Jerzego zabijającego smoka, drugie Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus na ręku, patronkę Bawaryi. Na frontonie tego skrzydła umieszczony jest herold w starożytnej zbroi, trzymający sztandar bawarski. We wnętrzu zamku, między dwoma rzędami kolumn, rozstawiono niezliczoną liczbę posągów; przepychu sal przyjęcia niepodobna nie widząc wyobrazić sobie; sufity zdobią malowania *al resco* wykonane przez najlepszych monachijskich malarzy, na tle historyi królów bawarskich, od 1806 do 1867 r., oraz z epizodów wojny francuzko-pruskiej, w których miały udział wojska bawarskie, a nakoniec sceny z ostatnich dramatów muzycznych Wagnera, z Nibelungów i Persifala. Posadzkę zdobią mozajki z różnokolorowego drzewa. Lecz więcej jak te bogactwa i przepych, podziwiać trzeba niepojęte dziwactwo króla Ludwika, który mieszkanie swoje urządzić kazał *aż na szóstem piętrze*. Składa się ono z gabinetu, biblioteki, sypialni oraz sali audyencyonalnej, w której król przyjmuje raporta ministrów. W gabinecie króla znajdują się popiersia rodziny królewskiej, Wagnera i kilku znakomitości bawarskich. Czwarte i piąte piętro obejmuje wielkie salony, przeznaczone na bibliotekę, zbrojownie i muzeum numizmatyczne. Na zewnątrz i wewnątrz zamek oświetlony jest lampami elektrycznemi. Nawet stajnie królewskie ozdobione są freskami, przedstawiającemi sceny z czasów przedhistorycznych. Wyrzucić dziesiątki milionów na wspaniały, istnie czarodziejski zamek, po to, aby w nim zająć skromne mieszkanie na szóstem piętrze, to już dziwactwo tak olbrzymie, że nie zdobyłby się na nie nawet Anglik najsroższym dotknięty spleen'em.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z podwójną tuniką. Na spódnicy zakończonej bardzo szerokiem plisowaniem, dolna połowa tuniki ułożona jest z długiego prostego bryta, z boków i w środku ściśle zebranego w fałdy. Górna część upięta nakształt maleńkiego zaokrąglonego fartuszka. Brzegi dolne tuniki zakończone drobno plisowaną falbaną, na którą spadają pukle ze wstążki dane w równych odstępach. Takież pukle znacznie dłuższe, dane przy upięciu z tyłu spódnicy. Stanik aksamitny zapinany z tyłu. Kapelusz ze słomkową główką, a rondkiem marszczonem z materyi, przybrany kokardami z wstążki.

Ubranie z paletocikiem. Paletocik odrobiony z cienkiego sukienka, ma gładkie przody naszyte kawałkami pletni z jednego brzegu przytwierdzonemi guziczkami, z drugiego zakończonemi szpiczasto haftem płaskim. Plecy mają baskinę złożoną w kontrafałdy. Kapelusz słomkowy z odwiniętem rondem, przybrany piórem.

Ubranie z okryciem wiosennem. Okrycie uszyte z tartanu w kratę na podszewce jedwabnej. Plecy krajane z krótkiem fałdowanem karoczkiem dopełnione są oddzielną częścią fałdowaną, dodaną od spodu.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Helenie P. w Letyczewie. Pierwszy numer już zupełnie wyczerpany, przesłać go więc powtórnie nie można. Później może z jakiego miejsca zwrócony zostanie, to nim chętnie służyć będziemy.

Panu Aleksandrowi W. w Dziechowicach. Wierszyk nadesłany, rzeczywiście jak się w liście wyrażono, nie odznacza się udatnością i obrobieniem, jakże więc może być ogłoszonym w Tygodniku? Nie żądamy arcydzieł, ale udatności, zgrabnej formy i poczciwej myśli mamy prawo wymagać.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 16 Марта 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

— Nie, rzekł Armand z żywością, nie mogę zezwolić na to abyś pani narażała się na niebezpieczeństwo. Było to już szaleństwem z mej strony że zgodziłem się jechać z tobą przez bród: a tam wyżej rzeka jest bystra i głęboka...

— Mam dobrego konia nie potrzebuję więc lękać się niczego. Zresztą mając piętnaście lat przejechałam tak w Szkocyi przez rzekę; wszystko zależy na tem aby nie stracić przytomności umysłu. Nie obawiaj się pan i pozwól mi jechać za sobą, tak spokojnie, jak gdyby zamiast mnie, Tomaszek siedział na Szamilu.

W każdym innym razie to porównanie rozśmieszyłoby Armanda, ale teraz oburzyło go prawie.

— Tomaszek! powtórzył niecierpliwie. Sądzę, Eliano, że mi wolno troszczyć się więcej o ciebie jak o twego grooma! Bądź co bądź, posłuchaj pani mej rady, wróć do domu, a jutro przywiozę ci wiadomość, a może nawet przyjadę po ciebie.

— *Może*, powiedziała Eliana, patrząc na światło błyszczące w oknach pałacyku; to jest jeżli nie będzie już zapóźno... Nie, panie, nie wrócę, pojadę z tobą, nie zdołasz zmienić mego postanowienia.

Armand usiłował uspokoić wzburzone myśli i zastanowić się spokojnie. Było to rzeczą niewątpliwą że w ciągu długich wycieczek w Crecy i Erlon, Eliana pokonywała często prawie różne trudności; znał jej zimną krew, odwagę, umiejętność prowadzenia konia. W podobnych warunkach nie lękałby się o każdą inną kobietę, gdyby chciała przepłynąć rzekę, dlaczego więc obawiał się tak bardzo gdy szło *o nią*... niestety! dlaczego?.. Ale na co się zdała ta jego obawa skoro wiedział że niekiedy wola jej bywa niezłomną, a nie mógł wątpić że i teraz nie odstąpi od swego postanowienia. Nie sprzeciwiał się więc dłużej i rzekł tylko:

— Przyrzecz mi przynajmniej że zastosujesz się ściśle do rad moich.

— Przyrzekam najchętniej.

Armand wyjął z kieszeni latarkę, zapalił ją i zawiesił sobie na plecach.

— Jedź teraz za mną o ile można najbliżej, uważaj pilnie na światło i kieruj swym koniem stosownie de tego, w którą stronę posuwać się będę.

— Dobrze, rozumiem.

Ruszyli z miejsca i jechali wolno brzegiem rzeki dopóki Armand nie zawołał:

— Zatrzymaj się pani, wyjmij nogę z strzemienia.

— Już wyjęłam; bądź pan o mnie spokojny.

Uniosła amazonkę, poprawiła się na siodle, pogłaskała Szamila i wjechała w rzekę za Armandem.

Przeprawa okazała się dłuższą i trudniejszą niż sądzili. Serce Armanda biło tak silnie, że pomimo szumu wody można byłoby usłyszeć jego uderzenia. Niekiedy stłumionym głosem wymawiał imię Eliany, jakby się chciał zapewnić że jej się nie stało nic złego, ona odpowiadała i to podtrzymywało jego odwagę. W dalekich swych podróżach był nie raz wystawiony na groźne niebezpieczeństwo, nigdy jednak nie doznawał tak strasznej obawy jak obecnie. Zimny pot występował mu na czoło, twarz pokryła się śmiertelną bladością, i gdy wreszcie koń jego wyszedł na piasek, gdy mógł z niego zeskoczyć, uchwycić za cugle wierzchowca Eliany i wyprowadzić go na brzeg, gdy nakoniec ujrzał ją obok siebie wolną już od wszelkiego niebezpieczeństwa i zaledwie lekko wzruszoną tem jakie przebyła, wtenczas radość jakiej doznał po tak gwałtownem natężeniu umysłu i serca przewyższyła na chwilę jego siły; spokojny i tak umiejący panować nad sobą, Armand uczuł zawrót głowy, zachwiał się upadł na ziemię.

XIV

Eliana w jednej chwili zeskoczyła z konia i była już przy nim. Wyjęła z kieszeni flaszeczkę z octem i zwilżyła nim czoło Armanda. Upadając zgasił latarkę, ale szczęściem deszcz ustał od kilku minut, wiatr rozpędzał chmury i noc nie była już tak ciemna jak przedtem.

Malseigne odzyskał wkrótce przytomność i podniósł się z ziemi.

— Oprzyj się pan o to drzewo, rzekła Eliana, podając mu flaszeczkę z wódką.

Napił się trochę i rzekł:

— Dziękuję. Doprawdy, trudno było przewidzieć coś podobnego; ja mdleję jak kobieta, a pani śpieszysz mi na ratunek!

— O! bo lękałeś się pan o mnie.

— Tak, przyznaję... lękałem się bardzo.

— Gdy tymczasem ja byłam zupełnie spokojna. Dodawałeś pan mi odwagi, kierowałam się podług światła twej latarki, i zaraz od pierwszej chwili przekonałam się że Szamil rozumie czego od niego żądam i że mogę mu zaufać. Czy już odzyskałeś pan siły?

— Tak, jedźmy.

Dopomógł jej wsiąść na konia, następnie sam wsiadł i pojechali dalej. Gdy już zbliżali się do pałacyku, Eliana zapytała trochę drżącym głosem:

— Czy ona wie kto jestem, i że mam do niej przyjechać?

— Nie; wątpię nawet aby kiedykolwiek słyszała twe imię.

Zamilkli, trudno im było mówić.

— Jakimże sposobem, rzekła nakoniec Eliana, wytłómaczyć jej moją obecność?

— Zobaczymy to później.

Stanęli nakoniec przed pałacykiem. Armand zadzwonił lekko, otworzono im natychmiast. Nikt jeszcze nie spał w domu, jedni czuwali przy chorej, inni przy zwłokach Assunty leżącej dotąd na katafalku.

— Czy zaszła jaka zmiana w czasie mej nieobecności? zypytał Armand cicho.

— Nie. Była trochę niespokojna, ale teraz śpi. Siostra jest przy niej, odpowiedział Marceli, stary służący Armanda.

— Zaprowadzę cię teraz do twego pokoju, Eliano, rzekł Malseigne; znajdziesz tam ogień na kominku i będziesz mogła osuszyć ubranie.

Poszedł naprzód ze świecą w ręku i weszli przez wązkie ale wygodne dębowe schody na pierwsze piętro, gdzie znajdował się pokój przeznaczony dla Eliany.

Malseigne rzucił do koła oczyma; przekonał się że suty ogień palił się na kominku, a dwie świece na stole. Miał już odejść, ale zatrzymał się przestraszony niezwykłą bladością Eliany.

— Eliano! zawołał niespokojnie, zbliżając się do niej, czy nie przeceniłaś sił swoich? czy nie będę zmuszony wyrzucać sobie całe życie że byłem dość szalonym aby cię tu przywieźć? Niech mnie Bóg uchroni przynajmniej od podobnej zgryzoty!

— Nie lękaj się pan o mnie, odpowiedziała, nie czuję się nawet zmęczoną; powiedz mi tylko co mam teraz robić?

— Zaczekaj tu pani na mnie, rzekł Malseigne już spokojniej; przyjdę niedługo po ciebie. Nie chcę ani powątpiewać o twej odwadze, ani też utracić mej własnej.

Wyszedł, a Eliana teraz dopiero spojrzała koło siebie. Cały ten pokój przypominał dawne czasy; począwszy od pięknie rzeźbionego łóżka, do obić i firanek, od obrazów wiszących na ścianach do cacek stojących nad kominkiem, na biórku i komodzie, wszystko było staroświeckie, rzadko gdzie dające się widzieć, piękne i w poważnym guście. Tak właśnie przedstawiała sobie pałacyk du Gué, i tak jej go opisano.

Jednak to wszystko zwracało zaledwie przelotnie jej uwagę. Pomimo pozornego spokoju była bardzo wzruszoną, i teraz, gdy po raz pierwszy od zjawienia się Armanda w Erlon, mogła znstanowić się lepiej, zaczęła pojmować w jak dziwnem znajdowała się położeniu.

Znajdowała się więc *sama* w tem miejscu do którego on miał ją wprowadzić!.. I po co tu przyszła?.. jakiego przyjęcia dozna od tej do której domu weszła tak samowolnie?.. Czy to było rzeczywiście potrzebnem, rozsądnem?.. Czy jej to przebaczy matka Raynolda?.. Co on sam pomyśli, jeżli kiedyś dowie się o tem?.. Czy Malseigne postąpił roztropnie, żądając tego od niej?.. Czas upływa, a on nie wraca... Miałożby to długie milczenie oznaczać że przybyli zapóźno?..

Drzwi otworzyły się nakoniec i Eliana posunęła się ku nim z żywością, ale był to tylko Marceli. Przyniósł na tacy wino, herbatę, biszkopty, a jakkolwiek Eliana powiedziała że to niepotrzebne, postawił wszystko na stole.

— Nie, nie, rzekł, trzeba koniecznie aby się pani posiliła.

— Będę mieć na to jeszcze dość czasu. Powiedz mi czy nie wiesz jak się ma chora?

— Nic jeszcze nie wiemy; dopiero dwudziestego pierwszego dnia od początku choroby okaże się czy można mieć jakąś nadzieję, a dziś mamy dopiero dziewiętnasty. Ta biedna pani była już lepiej, gdy ją spotkało ciężkie zmartwienie! Kochała bardzo swoją starą mamkę, i gdy dowiedziała się o jej śmierci, płakała przez cały dzień i z tego powodu choroba się wzmogła.

Eliana słuchała z żywem zajęciem, i byłaby chętnie przedłużyła rozmowę z Marcelim, gdyby nie usłyszała na dziedzińcu turkotu powozu, zwiastującego przybycie panny Sylvestre. Jednak świadomość że znajdowała się w pałacyku napełniała ją tak dziwnem uczuciem, że z prawdziwą przyjemnością powitała swą towarzyszkę.

Pannę Sylvestre drażniła także do najwyższego stopnia ta myśl, że ona, Rozalja Sylvestre, znajduje się pod jednym dachem z tą która opętała Raynolda i do którego czuła zawsze najgłębszą odrazę.

— Jestem znów przecie przy tobie, rzekła obejrzawszy pierwej przeznaczony dla niej gabinecik obok pokoju Eliany. Sądzę że i ty będziesz spokojniejszą... w każdym razie bardzo to rozsądnie z twej strony że nie chciałaś tu przebywać beze mnie... Mój Boże, jakiż to deszcz!... jakiż czas szkarapny! Moje biedne dziecię, mówiła dalej dopomagając Elianie do przebrania się, w jakimże to stanie jest twoje obówie! a spódniczka!.. możnaby sądzić że pieszo przeszłaś przez rzekę... włóż prędko suche pończochy i trzewiki... a potem poprawię ci włosy także zupełnie mokre!..

Następnie włożyła na Elianę biały wełniany szlafroczek, przewiązany w pasie błękitną szarfą, a gdy ta zupełnie już przebrana usiadła niespokojna i zamyślona, panna Sylvestre przyniosła jej kieliszek malagi i parę biszkopcików, mówiąc:

— Wypij teraz to wino i zjedz biszkopciki, inaczej nie pozwolę ci zbliżyć się do łóżka osoby dotkniętej zaraźliwą chorobą.

Eliana spełniła jej życzenie prawie bezwiednie, myśląc o czem innem.

— A teraz moja droga, rzekła panna Sylvestre, muszę ci jeszcze zalecić jak największą ostrożność w słowach i zachowaniu. Podobało ci się spełnić uczynek miłosierny, niech więc tak będzie... ale nie trzeba nigdy zapominać że podobne osoby...

— Jakie osoby? zapytała z żywością Eliana.

— Mówię o wszystkich w ogóle aktorkach, śpiewaczkach i...

— Powiedziałam ci to już sto razy, panno Sylvestre, że tu nie idzie o jakąś aktorkę, śpiewaczkę, lub też coś podobnego... Margrabina de Liminges odebrała równie dobre wychowanie jak my, i proszę cię nie mów już nigdy...

Mówiła to z żywością zdradzającą że nie jest tak spokojną jak to okazać chciała, gdy Malseigne zapukał do drzwi, a następnie otworzył je, i nie wchodząc do pokoju skinął na Elianę. Wstała natychmiast i udała się za nim.

Zeszli na dół, gdzie znajdował się pokój w którym teraz biedna Hersylia spała snem gorączkowym. Wchodziło się do niego przez dość obszerny salonik, obecnie oświetlony jedną tylko lampą. Zastali tam siostrę Irenę, która opuściła na chwilę swe miejsce przy łóżku chorej i wyszła naprzeciwko nich.

Siostra Irena zwróciła na Elianę spojrzenie łagodne, poważne i przenikliwe, a po chwili rzekła do Armanda: „Dziękuję panu.” Potem zaś zwracając się do Eliany zapytała:

— Wszak pani była już przy osobach dotkniętych tą chorobą?

— O! tak, nawet przy bardzo wielu.

— Nie potrzebuję więc pani mówić co czynić trzeba?

— Gdy jestem sama muszę działać według własnego uznania, ale tu potrzebuję tylko spełniać twe polecenia, siostro, a pod tym względem możesz z pewnością rachować na mnie.

Łagodny uśmiech rozjaśnił twarz siostry Ireny.

— Pan de Malseigne zapewnił mnie, rzekła, że pani jest spokojną i odważną; widzę że nie omylił się, że możesz mi być bardzo pomocną i uczynić wiele dobrego mej biednej chorej. Dzięki Bogu!.. Chodźmy do niej.

Eliana odwróciła się stojąc już przy drzwiach; a spotkawszy pełne niepokoju spojrzenie Armanda wróciła do niego i rzekła cicho i prędko:

— Nie lękaj się o mnie, panie Armandzie, dzięki tobie ziści się gorące moje życzenie, które dotąd zdawało mi się niepodobnem do urzeczywistnienia. Zobaczę *ją* nakoniec!..

Było już około północy, gdy Eliana wróciła do pokoju w którym panna Sylvestre oczekiwała na nią z niecierpliwością połączoną z niepokojem.

— Wróciłaś przecie, Bogu dzięki! zawołała; myślałam że tam zostaniesz na całą noc... Opowiedzże mi teraz wszystko.. Co wnosisz z jej powierzchowności? czy bardzo chora czy może odzyskać zdrowie?.. czy umrze?..

Eliana usiadła; była zamyślona i widocznie wolałaby milczeć niż mówić, ale twarz jej przedtem bladą ożywiał teraz silny rumieniec, co było u niej oznaką żywego wzruszenia. Po niejakim czasie odpowiedziała:

— Jest piękna, młodziutka, urocza. Jest bardzo chora, ale wyzdrowieje; powiedziałam to siostrze Irenie, i podziela już teraz to zdanie.

Gdyby ktoś mógł w tej chwili czytać w sercu dobrej panny Sylvestre, zadziwiłby się widząc jakie to skutki mogą się wyradzać nawet z uczciwej i bezinteresownej namiętności. Może zadrżałaby nawet sama gdyby zdała sobie z tego sprawę że miała nadzieję usłyszeć że Hersylia była brzydką, niemiłą, i że umrze z pewnością. Tak, śmierć wydawała jej się tylko zasłużoną karą za jej zgubny wpływ na Raynolda!..

Panna Sylvestre nie przyznała się jednak że doznała zawodu, i pomimo spóźnionej pory byłaby rada usłyszeć coś więcej, ale Eliana nie zdawała się usposobioną do rozmowy. Siedziała w fotelu nieruchoma i tak zadumana że nie śmiała jej zadawać pytań, i tylko po kilku minutach milczenia rzekła:

— Połóż się, Eliano, musisz być bardzo znużona.

Eliana powstała żywo jakby ją nagle przebudzono.

— Masz słuszność, droga panno Sylvestre, jakkolwiek nie chcę mi się spać, położę się jednak, gdyż jutro potrzebuję wstać bardzo rano. Tylko pomodlę się jeszcze, ale w innym pokoju, gdzie i ciebie także chcę zaprowadzić.

— Mnie!..

— Tak, wstąpiłam tu, panno Sylvestre, po to jedynie abyś tam poszła ze mną.

Wyszła, a za nią udała się jej towarzyszka trochę zdziwiona tem nowem i niezrozumiałem dla niej żądaniem. Zeszły cicho ze schodów, a w sieni Eliana zwróciła się w korytarz, gdzie znajdował się pokój w którym stały zwłoki Assunty. Drzwi były otwarte i świece zapalone rzucały światło na korytarz, weszły i uklękły. Przy stoliku na którym stał krucyfiks i paliły się dwie świece, modliła się klęcząc siostra miłosierdzia; w pokoju panowała głęboka cisza, a twarz wieśniaczki jaśniała tym majestatem śmierci, osiadającym na wszystkich bez wyjątku czołach.

Assunta, jak wszystkie kobiety pracujące ciężko, wydawała się za życia starszą niż była w istocie, a teraz gdy spoczywała snem wiecznym nikt nie dałby jej tych lat jakie miała w istocie. Jej rysy charakterystyczne i regularne, gęste i prawie zupełnie jeszcze czarne włosy, ręce złożone i przyciskające do piersi krzyż i różaniec, a na ustach jakiś uśmiech zdający się wyrażać radość ze spełnionego wiernie obowiązku i błogość spoczynku po skończonej pracy; wszystko to tworzyło widok uspakajający i budziło myśli religijne.

Panna Sylvestre pomimo swych drobnych wad i uprzedzeń była szczerze pobożną; nigdy też biedna Assunta, pomimo całej swej wymowy, nie zdołałaby przemówić równie przekonywająco w obronie tej którą tak kochała, jak teraz gdy leżała milcząca i martwa. Panna Sylvestre zrozumiała tę mowę, zrozumiała że patrzy na zwłoki kobiety uczciwej, szlachetnej i pobożnej, i ze ta którą wykarmiła swem mlekiem mogła także nie zasługiwać na tę pogardę, z jaką ona sama dotąd wyrażała się o niej.

Wprawdzie nie wyrozumowała sobie tego jeszcze jasno i dokładnie, ale pomimo to w usposobieniu jej zaszła wielka zmiana. Do serca jej zakradło się jakieś smętne rozczulenie, a z ust popłynęła gorąca modlitwa, nie tylko za umarłą, ale i za tę której śmierci prawie życzyła sobie jeszcze tak niedawno.

XV

Nazajutrz rano, słońce było już dość wysoko, gdy młoda margrabina de Liminges przebudziła się z pokrzepiającego snu, trwającego od północy. Siostra Irena czuwała przy niej i z radością poznała zaraz z pierwszego spojrzenia chorej, że gorączka ustępuje. Oczy jej straciły blask gorączkowy, a jakkolwiek znać w nich było wielkie osłabienie, odzyskały zwykły swój wyraz i uścisnęła lekko dłoń siostry Ireny, gdy ta wzięła ją za rękę. Jednak po paru minutach utkwiła wzrok w jeden punkt jakby tam coś widziała lub spodziewała się zobaczyć, a w końcu rzekła unosząc trochę głowę:

— Jestem zdrowsza, siostro, czuję to sama, ale nie dziwi mnie to wcale... Dziś w nocy widziałam niedaleko miejsca które zajmujesz teraz, Madonnę!.. Patrzyła na mnie i mówiła do ciebie—bo i ty byłaś przy mnie, siostro, wszak widziałaś i słyszałaś ją także?..

— I cóż ona mówiła do mnie? zapytała z uśmiechem siostra Irena.

— Mówiła patrząc na mnie z współczuciem: *Jest bardzo chora, ale wyzdrowieje.*

— Nie było to jakieś widzenie ani też Najświętsza Panna, droga pani, jakkolwiek ona to z pewnością wysłuchała moje modlitwy, przysyłając ci tu przyjaciółkę o którą jej tak prosiłam.

— Przyjaciółkę?..

— Tak, która będzie panią, jak ja kochać i pielęgnować.

— Jak ty, droga siostro!..

Ale ta krótka rozmowa wyczerpała siły chorej; głowa jej opadła na poduszki i szepnęła już tylko: „Więc ona wróci! Dzięki Bogu!” Wkrótce potem zasnęła znowu.

Gdy obudziła się w godzinę później, ta którą uważała tylko za jakieś zjawisko siedziała przy jej łóżku. Po wczorajszej burzy nastąpił dzień prześliczny, a przez okno pierwszy raz otwarte, wchodziło do pokoju wonne i ciepłe powietrze.

Ale młoda chora uległa wkrótce zbawienniejszemu jeszcze wpływowi nad wpływ słońca, obecność Eliany oddziaływała na nią w sposób przewyższa-

jący nawet oczekiwanie siostry Ireny. Nie tylko że jak wiadomo, posiadała nieporównany dar opiekowania się chorymi, ale wywierała na nich jakiś dziwny urok, który musiał silniej jeszcze oddziaływać na osobę tak wrażliwą jak młoda Włoszka. Dlatego też w kilka dni była już o tyle lepiej że można ją było przenieść do naspokojniejszego i najwygodniejszego pod każdym względem pokoju, zwanego gabinetem barona.

Skutek usprawiedliwił więc zupełnie śmiały i trochę nierozważny postępek Armanda, bo nigdy jeszcze obecność Eliany nie okazała się tak użyteczną, tak niezbędną jak obecnie. Do pierwszego zmartwienia Hersylii, które zamieniło wrodzoną jej ociężałość w jakiś rodzaj otrętwienia, przyłączył się jeszcze smutek z powodu nieobecności męża, znudzenie wypływające z życia bezczynnego a samotnego. Dodajmy do tego chorobę połączoną z niepokojem o wierną Assuntę, a nakoniec śmierć tej ostatniej, czego niepodobna było ukryć przed nią; nie posiadała dość sił fizycznych, a tem więcej moralnych do zniesienia mężnie tych połączonych razem przeciwności. Potrzebowała koniecznie pomocy jakiejś silniejszej woli i mężniejszej duszy, a prócz tego przychylności szczerej, wyrozumiałej, cierpliwej a zdolnej zmusić ją poniekąd do przemożenia swej własnej natury, do czego sama przez się była zupełnie niezdolną. Jednocześnie trzeba jej było jakiejś rozrywki, jakiegoś nowego rodzaju zajęcia dla umysłu i serca, i tych wszystkich cudów Malseigne oczekiwał od tej dla której jedynie, jak sądził, wszystko to było możliwem.

Przez ten czas tyfus przestał zupełnie grasować w Erlon-les-Bois, ale Eliana chcąc wywiązać się zupełnie ze swego posłannictwa, postanowiła jeszcze przez cały miesiąc czuwać nad jego mieszkańcami, i wyjechać dopiero w końcu maja. Przepędzała teraz większą część czasu w małym pałacyku, ale jak łatwo się domyśléć, nie wspominała nic o tem w listach do stryjenki, donosząc jej tylko że po drugiej stronie rzeki znajdowało się jeszcze kilku chorych. Zamierzała jednak uwiadomić ją o tem później ze wszelkiemi szczegółami, ale chciała wybrać do tego jak najodpowiedniejszą chwilę, i ufała że gdy Opatrzność powierzyła jej rolę pośredniczki między matką i synem, oświeci ją także i dopomoże jej do spełnienia tak ważnego zadania.

Hersylia nie była ciekawą i nie lubiła zastanawiać się nad niczem; rozumiała że jej stanowisko w świecie było niższem od stanowiska jej męża; wiedziała że cała jego rodzina była bardzo z tego niezadowolniona że się z nią ożenił, ale wyprowadziła z tego ten wniosek, że miłość jego dla niej przewyższała w nim obawę sprawienia im przykrości, a ponieważ nie wspominał nic o tem, więc i ona nie widziała w tem nic ważnego. Jednak gdy na jej zapytanie o Elianę, odpowiedziano że to kuzynka jej męża, mieszkająca w sąsiedztwie, była z tego bardzo zadowolnioną, gdyż uważała to za dowód że familja jej męża przestała być dla niej niechętną. Cieszyło ją to jednak więcej dla niego niż dla niej samej.

Dawno już nie czuła się tak szczęśliwą jak obecnie. W młodości, samo odzyskanie zdrowia po niebezpiecznej chorobie, przynosi pewien rodzaj upojenia. Jeśli biedna Assunta już nie żyła, znalazła za to tak miłą, tak pociągającą towarzyszkę! Jakież to szczęście, całkiem dla niej nieznane dotąd, miéć przyjaciółkę w odpowiednim sobie wieku! Co to była za przyjemność gdy już mogły wyjść razem do ogrodu, a tem więcej gdy po raz pierwszy pozwolono jej odbyć dłuższą przechadzkę.

— Gdy Raynold przyjedzie, rzekła, skoro już wróciły, siadając na ławeczce, nauczy mnie jeździć konno tak jak ty jeździsz *Elianino* (nazywała tak pieszczotliwie swą przyjaciółkę) a w tenczas pojedziemy z nim razem do tego pięknego lasu, który ztąd widać.

Gdy to mówiła Eliana schyliła się i zaczęła zbierać kwiatki, które podała jej następnie.

— Dziękuję. Jakże jesteś dobra!... Tak się zmęczyłaś szukając dla mnie tych fijołków, że twarz ci się zarumieniła. Usiądź teraz przy mnie i odpocznij sobie. Wszak prawda, mówiła dalej, że będziemy odbywać długie przechadzki gdy Raynold wróci? Muszę stać się równie czynną i odważną jak ty Elianino; wiem że mu to sprawi przyjemność, bo mówił zawsze że mi brak odwagi... i miał słuszność. Lękam się wszystkiego, i nie lubię rozrywek pociągających za sobą zmęczenie; dosyć mi było przejechać się trochę powozem. Zwykle też on sam wyjeżdżał konno, ale i to budziło we mnie obawę, bo mówiono mi że zapuszczał się między góry i skały, i że widywano go niekiedy przejeżdżającego przez bardzo strome i niebezpieczne ścieżki.

— Postąpisz bardzo słusznie, rzekła Eliana, jeźli będziesz towarzyszyć mężowi skoro już odzyskasz siły, przyzwyczaisz się do tego stopniowo, a wiem że ci to sprawi wielką przyjemność.

— O! tak... Marceli, służący pana de Malseigne, mówił że można tu odbywać bardzo przyjemne spacery, i że nie możnaby już znaleźć piękniejszego na świecie, jak przejeżdżając przez las do Erlon-les-Bois. Czy znasz tę drogę?

— Tak... byłam tam raz, dawno już temu.

— A więc pojedziemy tam razem, skoro Raynold wróci, przyrzecz mi to, Elianino.

— Nie mogę, Hersylio, ponieważ przy końcu tego miesiąca będę zmuszona wyjechać; ale margrabia de Liminges, zna ten las lepiej niż ja, i będzie chętnie twym przewodnikiem.

Eliana powiedziała to głosem spokojnym i łagodnym, jednak byłaby chętnie cofnęła te słowa, widząc że oczy Hersylii napełniły się łzami.

— Jesteś niedobra, Eliano, bardzo niedobra, skoro chcesz wyjechać. Nie kochasz mnie tak jak ja cię kocham, przekonałam się teraz o tem.

Eliana ucałowała ją, przeprosiła, obiecując że pozostanie o ile będzie mogła najdłużej, słowem pocieszała ją jak małe dziecko; ale też Hersylia była jeszcze tak osłabioną i drażliwą że trzeba było obchodzić się z nią jak z dzieckiem. Eliana wyrzucała sobie że mogła o tem zapomnieć.

Odprowadziła ją do jej pokoju, posadziła na kanapie, i chcąc ją rozerwać, zaczęła czytać głośno tak zajmującą książkę że Hersylia słuchała jej bardzo uważnie. Wzrok jej śledził wszystkie zmiany na wyrazistej twarzy Eliany, słuch pieściły harmonijne dźwięki jej głosu, rozumiała wszystko bez zbytniego natężenia uwagi, i z zadziwieniem spostrzegła gdy Eliana zamknęła książkę, że ją czytała blizko godzinę.

— Jakże pięknie czytasz! zawołała, i jak łatwo pojmowałabym wszystko, gdybyś ty mnie uczyła.

— Czytaj i ucz się sama, Hersylio, jestem pewna że mogłabyś korzystać wiele gdybyś tylko chciała.

— Tak sądzisz, Eliano? Dawniej, tak, dawniej mogłoby to być... miałam zdolności, ale straciłam je już dawno... Musi to być prawdą, skoro mój biedny ojciec tak ubolewał nad tem! Nigdy, pomimo że kochałam go tak bardzo, nie mogłam go zadowolnić. A jednak nie raz usilnie starałam się o to!... Przypominam sobie że raz dokładałam wszelkich usiłowań aby napisać dobrze zadane mi przez niego wypracowanie, ale noc nadeszła a ja nie skończyłam go jeszcze, i w końcu opanowało mnie takie znużenie i taka senność że upadłam na ziemię, i gdy ojciec wszedł do pokoju zastał mnie śpiącą na podłodze.

— Biedna Hersylio! może zadanie było zbyt trudne, albo też nie wytłomaczono ci dobrze.

— Może... Jednak moj ojciec był człowiekiem bardzo uczonym.

— Zapewnie zbyt uczonym dla ciebie, gdy tymczasem ja nie wiele więcéj od ciebie umiem, i dla tego właśnie możesz mnie łatwiej zrozumieć.

— Sądzisz że to było z tego powodu? rzekła z prostotą Hersylia. W każdym razie jestem pewna że jeźli zechcesz pożyczyć mi tej książki, odczytam z przyjemnością to co słyszałam, i w takim razie nie zapomnę już tego. Uczę się łatwo wszystkiego co dobrze rozumiem, i dla tego też umiem tyle wierszy.

— Bardzo dobrze, Hersylio; ale dziś jesteś już zmęczona, połóż się, a jutro rano odczytasz to sobie, i będziemy mogły przejść tak całą książkę.

— O! tak, będziemy czytać co dzień, i nauczę się wszystkiego co tylko zechcesz, a gdy Rinaldo wróci, ucieszy się gdy znajdzie we mnie tak korzystną zmianę. Bo muszę ci powiedzieć, Eliano, że Rinaldo był najlepszym uczniem mego ojca, i z tego powodu bałam się wszystkich jego książek; myślałam że gdy się przekona że ich nie rozumiem, sprawi mu to tak wielką przykrość, jak sprawiało memu ojcu. Zwykle, skoro otwierał przy mnie książkę, uciekałam lub też zasłaniałam sobie uszy... z początku pobudzało go to do śmiechu, ale później marszczył brwi i wychodził z pokoju niezadowolony, wzruszając ramionami i nazywając mnie dzieckiem!...

— Dzieckiem, powtórzyła Eliana, przesuwając pieszczotliwie rękę po czarnych włosach Hersylii. Nie jest to jeszcze tak wielka zniewaga... wszakże tak czule kochamy dzieci!...

Silne wzruszenie odbiło się na twarzy Hersylii.

— A! wiem o tem! rzekła drżącym głosem... O! tak, można bardzo kochać dziecię... można je kochać tak że śmierć jego i nam śmierć przynosi!... Ale, Eliano... miłość męża dla żony powinna być inną. Zrozumiałam to dobrze teraz dopiero, gdy ciebie poznałam, bo widzę jak wielu nie posiadam przymiotów.

Zamyśliła się a potem dodała:

— Elianino, gdybym mogła stać się podobną, zupełnie podobną do ciebie, wpłynęłoby to korzystnie na całe nasze życie. Rinaldo kochałby mnie jak dotąd nie kochał mnie nigdy, i bylibyśmy szczęśliwsi niż obecnie. Czy zechcesz dopomódz nam do tego?...

Eliana pocałowała ją w czoło i odpowiedziała poważnie z i czułością:

— Pragnę tego z całej duszy, Hersylio.

XVI.

Począwszy od tego dnia Hersylia zaczęła czynić pod każdym względem szybkie postępy. W miarę jak idąc za przykładem Eliany, stawała się czynniejszą i pracowitszą, oczy jej nabierały blasku, a ruchy były żywsze, możnaby sądzić że już zupełnie odzyskała zdrowie, gdyby mało znaczące powody nie wywoływały w niej widocznego osłabienia, lub rozdrażnienia nerwów. Doktór widział w tem skutki przebytej choroby, które tylko z czasem ustąpić mogą. Zalecił tylko aby odsuwać od niej staran-

nie wszystko co mogłoby ją zmartwić, a nawet wszelkie żywsze choćby przyjemne wzruszenia.

Pomimo to, Eliana była zmuszona wspomnieć jej znów o swym wyjeździe. Maj zbliżał się do końca, i tylko już tydzień miała zabawić w Erlon, dla tego też gdy Hersylia zdawała się pewnego dnia rzeźwiejszą, nadmieniła jej o tem. Ale w tejże chwili twarz Hersylii zmieniła się i zbladła.

— Chcesz odjechać! zawołała wzruszonym głosem; sądziłam że nie myślisz już o tem, Eliano. Nie możesz mnie opuścić! Nie chcę o tem słyszeć!... Patrz co się ze mną dzieje gdy tylko pomyślę że wyjedziesz.

Położyła jej rękę na swem sercu, i Eliana przekonała się że biło zbyt prędko i silnie. Przestraszyło ją to i stawiało w przykrem położeniu. Nie tylko że nie mogła odkładać wyjazdu, którego dzień oznaczyła stanowczo stryjenka, ale Raynold doniósł żonie że wróci na początku przyszłego tygodnia, i to samo już nie pozwalałoby jej pozostać dłużej. Ale, mając jeszcze ośm dni czasu przed sobą, nie odpowiedziała nic Hersylii, nie chcąc ją drażnić i zasmucać przedwcześnie.

Jakkolwiek to milczenie uspokoiło Hersylię, budząc w niej nadzieję że Eliana zastosuje się do jej życzenia, jednak przez cały już dzień była słabsza i bardziej rozdrażniona. Eliana starała się wszelkiemi sposobami rozerwać ją i uspokoić, a w końcu zaczęła grać na fortepianie.

Dopiero od kilku dni pozwolono Hersylii słuchać muzyki, ale sama nie grała jeszcze i nie śpiewała. Słuchała teraz w milczeniu leżąc na kanapie, a gdy Eliana skończyła, zapytała jej:

— Może śpiewasz także, Eliano?

— Nie, nie umiem śpiewać, odpowiedziała wstając natychmiast od fortepianu.

— Bardzo mnie to dziwi, rzekła Hersylja, masz głos tak miły, tak dźwięczny. Czy nigdy nie próbowałaś śpiewać?

— Nie, nigdy... to jest próbowałam kiedyś, dawno już temu. Ale, dodała natychmiast, życzyłabym sobie bardzo ciebie usłyszeć, Hersylio; mówiono mi że masz głos zachwycający.

— Tak, odpowiedziała Hersylja z pewnem ożywieniem, miałam głos piękny i śpiewałam dobrze, ale od... od...

Chciała sobie przypomnieć ile upłynęło czasu, lecz pamięć ją zawiodła.

— A mój Boże! zawołała, pocierając niespokojnie czoło ręką, znów nie mogę sobie przypomnieć ile miesięcy upłynęło od śmierci mojej Bianki.

Ta częściowa utrata pamięci, zdarzająca się po chorobie tak ciężkiej jak ta którą przebyła, tem bardziej była dziwniejszą, że gdy szło o coś innego przypominała sobie wszystko z najdrobniejszemi szczegółami. Ten brak równowagi w jej umyśle przerażał ją samą a niepokoił Elianę. Pomimo to, rzekła spokojnie siadając przy niej:

— Już przeszło sześć miesięcy, Hersylio... Nie ma w tem nic dziwnego, że po tak ciężkiej chorobie pamięć zawodzi cię czasem. Ale, mówiła dalej chcąc zwrócić jej myśli na inny przedmiot, może mogłabyś już spróbować twego głosu?... Jeźli cię to będzie męczyć to przestaniesz śpiewać... Pomyśl tylko jaką to przyjemność sprawi twemu mężowi, skoro przekona się że głos twój jest równie piękny jak dawniej.

— Masz słuszność, rzekła z uśmiechem Hersylia podnosząc głowę; on się ucieszy, a i mnie sprawi to przyjemność... Sądzę że siły mnie nie zawiodą, i przekonam się zaraz czy nie straciłam głosu.

Siadła do fortepianu, a Eliana stanęła naprzeciw-ko niej. Wiemy już jak silne wrażenie wywierała na niej muzyka i jaki głos posiadała Hersylia, nie potrzebujemy więc opisywać z jak głębokiem wzruszeniem słuchała jej śpiewu, ale powiemy tylko że rozbudził także jej wspomnienia. Urocze te wdzięki wywołały takie nawet które już dawno stłumiła w sobie; bolesne widmo przeszłości stanęło nagle przed nią, i twarz jej przybrała taki wyraz że Hersylia patrzyła na nią z zachwytem i podziwieniem.

Jednak że młoda Włoszka była sama upojona dźwiękami własnego głosu, więc też i w bolesnej extazie Eliany widziała tylko dowód zachwycenia, stanowiącego tak potężną podnietę dla artystów. Głos jej trochę przytłumiony z początku, stawał się co raz silniejszym, pamięć nie zawiodła jej wcale, i śpiewała bez nut wszystko co tylko kiedyś umiała.

Po prześpiewaniu kilku aryi przypomniała sobie i tę której nie dozwolono jej dokończyć w tym pamiętnym dniu w którym poznała Raynolda. Zaledwie jednak zaśpiewała: *Ah! non credea mirarti*, Eliana zadrżała, zarumieniła się a następnie zbladła, z drżących jej ust wyrwały się mimowolnie słowa: „Ah! proszę cię nie śpiewaj tego", i mimowolnym ruchem zatrzymała na klawiszach rękę Hersylii.

Hersylia umilkła, patrzyła na nią czas jakiś zdumiona, a potem szepnęła:

— I ona także!..

Potem dodała zmienionym głosem:

— Powiedz mi, Eliano, dlaczego nie chcesz słyszeć tej aryi.

— Przebacz mi, Hersylio, rzekła Eliana zmieszana tem swojem zapomnieniem, i nie sądź że mi się ta arja nie podoba, lub że... ale... ale...

Zacinała się, nie wiedząc jaki powód ma wymienić.

— Więc mi powiedz dlaczego nie chcesz jej słyszyć? powtórzyła Hersylia.

— O! jedynie dlatego, odpowiedziała prędko Eliana, że... że ją słyszałam tylko raz w życiu... już dawno temu... i że mi przypomina... przypomina...

— *Tego którego kochałaś i straciłaś*, wszak prawda? rzekła Hersylia, powtarzając słowa które słyszała kiedyś i które wyryły się głęboko w jej pamięci, a jednocześnie wpatrywała się w Elianę.

W pierwszej chwili Eliana była tak zmieszana że trudno jej było zdobyć się na odpowiedź, nie mogła jednak odgadnąć że to jakieś wspomnienie podyktowało Hersylii to pytanie, i przypisywała tylko przypadkowi że było tak trafne. Chciała je zbyć milczeniem, lecz w końcu ulegając naleganiu Hersylii rzekła:

— Tak, mniej więcej, i dlatego też zrobiło to na mnie pewne wrażenie. Ale nie mówmy już o tem, Hersylio, śpiewaj co tylko zechcesz, choćby nawet tę arję, a będę cię słuchać z największą przyjemnością.

Mówiąc to z uśmiechem, chciała położyć ręce Hersylii na klawiszach, ale ta odsunęła ją lekko.

— Nie, rzekła, jestem zmęczona i nie będę już dziś śpiewać.

Milcząca i zamyślona wróciła na kozetkę. Ściemniło się już i Eliana nie mogła widzieć wyrazu jej twarzy, ale ją niepokoiła jej nieruchomość i uporne milczenie. Czy to był tylko skutek fizycznego znużenia? Czy się obraziła i był to kaprys jedynie?.. Bądź co bądź przykro jej było że wywołała mimowolnie tę dziwną zmianę humoru.

Gdy nakoniec przyniesiono światło, a Hersylia siedziała ciągle zamyślona, z zaciśniętemi ustami, pochyloną głową i z namarszczonemi brwiami, słowem w niezwykłej i niespokojnej postawie, a Elia na zbliżyła się do niej i zapytała łagodnie ale z pewną powagą:

— Co ci się stało, Hersylio? Powiedz mi, nie powinnaś ukrywać tego przede mną.

Mówiąc to wzięła jej rękę i przytrzymała, pomimo że Hersylia chciała ją wysunąć.

— Masz ręce zimne jak lód i drżysz cała. Widzę że zmęczenie oddziałało szkodliwie na twoje nerwy, i wyrzucam sobie że zachęcałam cię do śpiewania.

— Nie, nie, to nie to, odpowiedziała Hersylia głuchym głosem.

Jednak Eliana utwierdziła się w tem przekonaniu, gdy jednocześnie twarz Hersylii zalała się łzami i z piersi jej wychodziły gwałtowne łkania.

Przez całą noc miała silną gorączkę; nazajutrz nie mogła wstać z łóżka, a przez cały dzień była niespokojna lub też tak posępna i milcząca że zaledwie parę słów zamieniła ze swą towarzyszką. To pogorszenie, które Eliana przypisywała poniekąd sobie (jakkolwiek nie domyślała się rzeczywistego powodu), zaniepokoiło ją i zmartwiło bardzo. Jeżeli Hersylia zachoruje znowu, jakże ją będzie mogła opuścić? a z drugiej strony niepodobna było nawet myśleć o pozostaniu przy niej.

Szczęściem, po paru dniach, Hersylia wróciła do poprzedniego zdrowia, a w następnych Eliana spostrzegła w niej z zadziwieniem tę tylko zmianę że obejście jej było nader chłodne i poważne i że ścigała ją wzrokiem z jakąś dziwną i prawie natrętną uwagą. Gdy nakoniec w przeddzień wyjazdu uwiadomiła ją że muszą się już rozłączyć, Hersylia przyjęła tę wiadomość w sposób tak odmienny od tego w jaki dotąd przyjmowała każdą o tem wzmiankę, że Eliana była tem prawie zdumiona i po raz pierwszy powstała w jej umyśle myśl całkiem nowa i napełniająca ją niepokojem.

Hersylia była smutna i wzruszona, ale nie wymówiła ani jednego słowa dla zatrzymania jej, a jakkolwiek łzy błyszczały w jej oczach, można było dostrzedz w nich jakiś rodzaj uspokojenia, prawie radości... Biedna Eliana pragnęła aby jej wyjazd nie zasmucił bardzo Hersylii, ale nie przypuszczała aby ją mógł ucieszyć.

Gdy jednak nazajutrz weszła do pokoju w którym niegdyś we śnie widział ją Raynold, a teraz żona jego oczekiwała na nią chcąc ją pożegnać, zdawało się że w sercu Hersylii odżyło nagle dawne ku niej przywiązanie. Wyciągnęła do niej ręce, rzęsiste łzy popłynęły z jej oczu, całowała ją i ściskała z jakimś namiętnym żalem.

— Żegnam cię, żegnam, Elianino! Musisz odjechać, wiem o tem... ale wiem także jak byłaś dobrą dla mnie... O! tak, dobrą jak anioł! Będę cię kochać zawsze!.. Nie zapomnę nigdy o tobie!

— Ja także, Hersylio, nie przestanę nigdy myśleć o tobie i będę zawsze twoją przyjaciółką... Wszak nie wątpisz o tem?

— O! tak, wierzę ci, Eliano. Czy też zobaczymy się jeszcze kiedy.

Eliana milczała chwilę, a potem rzekła:

Zostawmy przyszłość Bogu; cokolwiek nas spotka w tem życiu, połączymy się tam gdzie znajdziemy nieprzerwany spokój i wiekuiste szczęście.

Mówiąc te ostatnie słowa spojrzała raz jeszcze na Hersylią. Wzruszenie nadało niezwykłą świeżość jej cerze... znikły na chwilę wszelkie ślady choroby i odzyskała dawną swą piękność. Eliana ścisnęła ją raz jeszcze za rękę i oddaliła się śpiesznie.

(*D. c. n*).